

BIULETYN INFORMACYJNY

NIEZALEŻNEGO SAMORZĄDNEGO ZWIĄZKU ZAWODOWEGO



SOLIDARNOŚĆ

NR 27(35) Rok II
7V/1981

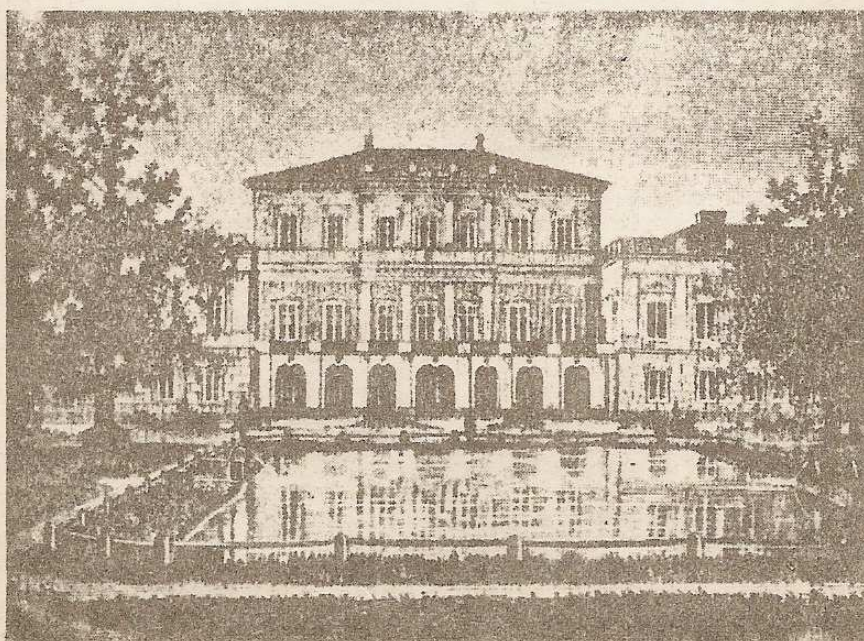
ZIEMI PUŁAWSKIEJ

Pismo wydawane przy MKZ w Puławach

MICHAŁ STRZEMSKI

PUŁAWIACY W PUŁAWACH

Życie codzienne



Siedziba Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa, 1969 r.

Przedstawiamy naszym Czytelnikom fragment książki Michała Strzemskiego pt. "Instytut Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Puławach /1862-1914/", wydanej nakładem Instytutu Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach w 1980 r., w ilości 300 egz., a przez to praktycznie niedostępnej przeciętnemu czytelnikowi.

Ukazując bogactwo form życia społecznego w tamtych czasach książka przypomina dawną tradycję Puław, o której dziś mało kto pamięta. A jednak wiele z tej tradycji pozostało; wydaje się nam także że ostatnio odradza się ona w formie różnorodnej działalności związkowej, społecznej i naukowej środowiska puławskiego.

REDAKCJA

MICHAŁ STRZEMSKI

PUŁAWIACY W PUŁAWACH

Życie codzienne

Ucichły odgłosy tragicznego powstania styczniowego. W końcu lat sześćdziesiątych i w pierwszych latach siedemdziesiątych żyło się w Puławach bardzo spokojnie i bardzo cicho. "Iwangorodzkim" /dęblińskim/ i puławskim garnizonem wojsk rosyjskich reprezentowały wprawdzie grozę sił imperialnych, ale z reguły nie wtrącały się do życia ludności cywilnej. Miejscowa żandarmeria odznaczała się przedziwną łagodnością i ogół Puławiaków nie mógł się na nią uskarżać. Zdarzały się wprawdzie drobne konflikty, ale przysłowiowe kwatěrki wódki załatwiała je w całości i bez reszty.

Sytuacja ekonomiczna ludności była osobliwa. Ziemia rodziła i wody rodziły, więc nikomu żywności nie brakowało. Chleb nie znikał nawet na tzw. przednówku. Jeśli komuś nie starczało na mięsio, to ratowała go ryborodna Wisła. Także jaja prawie nic nie kosztowały.

Ale "pieniądz był drogi", jak mówiono. Mało go było na rynku. Przy tym rubel rosyjski stanowił osobliwą walutę. Wysoko ceniono srebrne monety. Papierowymi rublami pogardzano /o złotych rublach nie mówię, bo w Puławach spotykano je rzadko/. Zdarzało się, że coś kosztowało jednego rubla w srebrze, a powyżej dwóch rubli w papierkach. Przy tym samo srebro wcale nie było drogie. Nie trzeba było być wielkim bogaczem, żeby kupić sobie srebrną, ciężką papierošnicę albo łaskę /z tekowego drzewa/ ze srebrną gałką lub rączką. A na jarmarku ubogi chłopak wiejski kupował swojej ubogiej dziewczynie wiejskiej takie prawdziwe srebrne wisioriki lub takie prawdziwe korale, jakie dziś można dostać za gigantyczną foršę tylko w stołecznych, uprzywilejowanych "Jubilerach" czy "Komisach".

Z wielkiego wyboru "klejnotów" słynęły kramy odpustowe. W samych Puławach odpustów wtedy nie bywało. Świątynią parafialną był kościół "na" Włostowicach.

Puław nie uznawano jeszcze wtedy za miasto. Traktowano je jako osadę, jako coś pośredniego pomiędzy miastem a wsią. Wprawdzie stanowiły siedzibę powiatu, ale w Imperium Rosyjskim trafiały się często wsie powiatowe.

Składały się Puławy z dwóch odrębnych części. Ze starej osady przyrynekowej /zamieszkałej głównie przez Żydów/, łączącej się z Przywiślem /zamieszkałym przez rybaków/ oraz z Osady Pałacowej, łączącej się z obszerną Osadą Przypałacową.

W Osadzie Pałacowej, dawnej rezydencji Czartoryskich, mieścił się Instytut. Osada Przypałacowa składała się z domków i dworów służby, ofiojalistów i przyjaciół rodziny księżęcej.

Tam gdzie były rynki, odbywały się oczywiście jarmarki. W Puławach przypadały one na każdą środę. Nie były one jednak świetniejsze od jarmarków wąwolnickich, kurowskich czy markuszowskich. Wygrywały czasem konkurencję jedynie z pobliską Końskowolą. O świetności życia jarmarcznego Puław decydowały jednak piątkowe targi rybne. Co to były za wspaniałe targi! Poza wszelką rybą hołotą łatwo tam było o najwspanialsze sumy i łososi. A w latach siedemdziesiątych zeszłego stulecia trafiały się często nawet i jesiotry. A wszystko to z Wisły.

Kto w to dziś uwierzy? A jednak to prawda!

Z tymi rybami to wcale nie dygresja. Jeśli chcemy pisać o życiu Puławiaków, zwłaszcza studentów puławskich, w Puławach, to o targach rybnych musimy wspomnieć. Oprócz ryb świeżych sprzedawano tam bardzo tanio ryby wędzone, stanowiące przedmiot zainteresowania biedoty studenckiej, której nie stać było na knajpę i która musiała poprzestawać "na własnym garnuszku".

Co to była za kategoria młodych ludzi, ta "biedota studencka"?

"Głupie pytanie" - odpowie dzisiejszy czytelnik. "Wchodzą tu oczywiście w grę synowie niezamożnych rodziców".

4

To wcale nie pytanie jest głupie - głupia jest taka odpowiedź. Zaszłowieczni rodzice byli w ogóle jacyś dziwni. Marny szlachciura - chudopachołek żyły z siebie wypruwał, żeby synkowi zapewnić przyzwoite utrzymanie na studiach, a liczni zamożni właściciele ziemscy skąpili własnym dzieciom /w czasie ich studiów/ do nieprzyzwoitości.

Czy to było rzeczywiście skąpstwo, czy zabieg wychowawczy? Nie wiem! Niech się pogłowią socjolodzy. Historia wychowania jest niekompletna, a wyczerpującej historii miłości rodzicielskiej nikt jeszcze nie napisał.

Było w Puławach trochę synów ubogiej szlachty, chłopów i rzemieślników. Ale to nie oni przymierali w Puławach głodem i wykańczali się na tzw. głodowe suchoty. Gdzie tu szukać korelacji?

Pomijam całkowicie sprawę dzieci arystokracji, względnie szlachty pozującej na arystokrację. Im działa się dobrze, względnie nawet "za dobrze".

Z tymi wyżej wspomnianymi "suchotami" to może trochę przesady. Koledzy wspomagali głodujących, nie pytając się o przyczyny nędzy i nie dziwiąc się niczemu.

Studenci zawsze wzbogacają swój język narodowy. Studenci puławscy nie etanowili pod tym względem wyjątków. Stosując słowo gagatek w powszechnym jego znaczeniu /tj. w zastosowaniu do młodego pokolenia/, używali także słowo "gagat" na określenie tatusia skąpego z zasady, nie z potrzeby.

O tym "gagacie" dowiedziałem się zresztą od byłych studentów puławskich, którzy kończyli studia w bieżącym stuleciu. Nie wiem więc na pewno czy w początkach IGWiL używano tego określenia, które z biegiem czasu traciło swój pierwotny sens. W końcowym okresie istnienia IGWiL "gagatów" było podobno mało, a ten "zaoczny" tytuł przeszedł na niektórych profesorów.

Materiałne krzywdzenie gagatków przez gagatów było w pierwszych latach istnienia IGWiL szczególnie dotkliwe. Tzw. stancji było w Puławach mało. Dlatego też były one drogie. Nie było jeszcze także stołówek, która powstała dopiero w późnych latach siedemdziesiątych.

Stosunkowo bardzo tanie były posiłki w znanej kawiarni-jadłodajni Engelsowej /róg dawnej Szpitalnej, dziś Czartoryskich i dawnej "Szosowej", później Lubelskiej, dziś Zwycięstwa/. Ale nie były one tanie dla tych, którzy otrzymywali z domu połowę kwot potrzebnych na minimum egzystencji.

Stara Engelsowa Polakom umiała dogodzić, ale Rosjanie na nią narzekali. Byli np. przyzwyczajeni do picia ogromnych ilości kiepskiej, taniej, słabej herbaty, a Engelsowa przyrządzała dobrą, mocną herbatę, która była ich zdaniem za droga. Niemcy zamieszkali w Puławach chwalili Engelsową za doskonałą kawę, a dzieci wszystkich narodowości za wyborne ciastka.

A propos tych "wszystkich narodowości". Warto poświęcić trochę słów strukturze narodowościowej czy pochodzeniowej oraz socjalnej regionu puławskiego. To nie będzie wcale dygresja. Struktura ta nie miała wprawdzie wpływu na jakiegokolwiek stosunki wewnątrz samego Instytutu, ale warunkowała sprawę działalności społecznej studentów puławskich wokół macierzystej uczelni.

W samych Puławach było ok. 1879 roku przeszło 50% Żydów, ok. 15% Rosjan i Niemców oraz niecałe 35% Polaków. Po dziesięciu latach /ok. 1880 r./ Polaków było już tylko ok. 20%, bo do Puław napłynęło dużo rodzin rosyjskich i niemieckich. Żywił rosyjski reprezentowali głównie urzędnicy i drobni kupcy, a niemiecki - przedsiębiorcy i rzemieślnicy lub wykwalifikowani robotnicy związani z chałupnictwem i przemysłem powroźniczym i sukienniczym, koncentrującym się w Końskowoli, oraz futrzarskim, rozwijającym się w Kurowie i wsiach podkurowekich.

Warto pamiętać, że Puławy były wtedy bardzo małym miasteczkiem /osadą/, więc przybycie do Puław kilkudziesięciu rodzin powodowało spore zmiany w statystyce ludnościowej.

Stopniowo zaczęło się roić w Puławach od Iwanów Iwanowiczów. Wzrastała również liczba obywateli puławskich o nazwiskach: Albrycht, Bär, Bender, Binder, Fuhrdähler /dzisiejsi Furdalowie/, Goede, Gläser /późniejsi Glazowie i Głazowscy/, Hamer, Hofman, Jung, Knoblauch, Koehler, Kötter /dzisiejsi Koterowie/, Kunckel /czyli Kunicy/, Laube, Schmied, Schuster, Stumpf, Treutler, Uhle, Uhle, Überscher, Werner, Wolf itd.

Puławscy Niemcy byli zresztą bardzo krótko Niemcami. Młode ich pokolenie polonizowało się w błyskawicznym tempie.

Tzw. region puławski był ludnościowo bardziej skomplikowany, niż samo

miasteczko. We wschodniej części regionu obok wsi słowiańekopolskich spotykało się wiele i osiedla tatarskie. Najbardziej tatarska była wieś Bałtów. Skośnookich było tam już raczej mało, ale wystające kości policzkowe charakteryzowały większość Bałtowiaków.

Tatarów nie brakowało także na szlaku Końskowola - Markuszów. Na tatarskie pochodzenie tamtejszych mieszkańców wskazywały jednak nie tyle facjaty, co nazwiska. Muratów, Sułków i Sulentów spotykamy sporo do dzisiejszego dnia. Poznawali gdzieś Mułkowie i Małkowie /Mułłowie/ oraz Chomole czy Komołe /Kemole/.

Bardzo trudno byłoby odpowiedzieć i na pytanie, skąd się wzięły w okolicach Puław dziewczyny typu paleoazjatyckiego - krępe, płaskonose, szeroko-twarzowe. Okropne były to brzydula. Możemy już śmiało o tym pisać, bo dzisiaj ich się tu w ogóle nie spotyka. Ludność się wymieszała.

Na puławskim dworze Czartoryskich służyło sporo Francuzów /kucharze, lokaje, ogrodnicy/, Włochów, Holendrów /ogrodnicy/ i Anglików /masztalerze/. Ciekawe czy dzisiejsi Spozowie, Spózowie i Spuzowie są pochodzenia holenderskiego czy angielskiego.

Zdaje się, że piwnicami Czartoryskich zajmowała się niegdyś rodzina Bartuzzi. Ale współczesna nam rodzina Bartuzich nie ze swojej szlachetnej biało-różowo-czerwonawinnej i szampańskiej przeszłości nie zapamiętała. Nawet nie wie chyba, jak smakuje "Chianti".

Dośkonale natomiast zapamiętała swoją przedurodzeniową przeszłość wnuczka p. V e r n i e r, ogrodnika z czasów Instytutu Wychowania Panien, twórcy słynnej alei gotyckiej w parku puławskim.

Na zachód od Puław i zawiślanej Góry Puławskiej sytuacja ludnościowa była całkiem inna. Rozwijała się tam kolonizacja niemiecka, która dopiero w okresie okupacji hitlerowskiej ukreśliła bicz na siebie, podpisując "Volkliste".

Gdzieś koło Zwolenia nie brakowało także osiemnastowiecznych kolonistów holenderskich, którzy spolonizowali się całkowicie i bez reszty.

W mikromiasteczkach regionu puławskiego przeważała ludność żydowska. Poza tym mieszkali w nich Polacy, których znaczna część zajmowała się rolnictwem. Tylko w Końkowie mieszkano stale trochę Niemców.

Wiadomości o środowisku ludnościowym są zawsze potrzebne, ale wróćmy do samych studentów z pierwszych lat istnienia puławskiego IGWiL. Wprawdzie wiemy już trochę o ich sytuacji mieszkaniowej i żywnościowej, ale nie wiemy nic jeszcze o ich sprawach dojazdowych i wyjazdowych.

W tamtych czasach nie było jeszcze kolei Nadwiślańskiej, uruchomionej dopiero w 1877 r. Do Puław można było dopływać Wisłą /od Sandomierza i Warszawy/ albo dojeżdżać końmi.

Co pisali na temat konnej łączności Puław ze światem dawni studenci IGWiL we "Wspomnieniach puławskich" /1933 r./. Otóż Leon Ł a g u n a, Jan T u r s k i i Jan W o ł e k i podawali:

"Do roku 1877, zanim kolej tak zwana Nadwiślańska została zbudowana, podróż do Puław była bardzo męcząca. Jechało się albo koleją do stacji Radzyna, albo kurierką pocztową traktem lubelskim do Żyrzyna, stamtąd zaś ekstrapocztą do samych Puław. Kurierki pocztowe - owe pamiętne zielone budy - miały po 4 miejsca naprzeciwko siebie, a 2 obok pocztyliona. Jechało się długo w niewiarygodnej pozycji, czasem zaś musiano wysiadać, gdy konie były słabsze, a droga szła pod górę.

Gdy trąbka zagrała przed samym miastem, ruch oczywiście się robił i już studenci wychodzili na szosę popatrzeć, czy czasem nowy kolega nie przybywa.

Ograniczanie się do jazdy kurierkami pocztowymi było oczywiście niemożliwe. Starzy Puławiaczy zapomnieli o prywatnych, przeważnie żydowskich środkach komunikacji i transportu. Żydowscy wozacy wozili "gorsze" towarzystwo furmankami, a "lepsze" pojazdami naśladującymi omnibusy. Te "omnibusy" spotykało się często na traktach: Warezawa - Lublin, Radom - Lublin, Puławy - Żyrzyn - Barenów, Puławy - Kazimierz, Puławy - Nałęczów i innych.

A więc wyobraźmy sobie, że jeden z tych wczesnych Puławiaków już przyjechał. Co dalej?

Piszę Ł a g u n a, T u r s k i, W o ł e k i:

"Zawsze takiego przybycę zaciągano na jakąś kwaterę, gdzie w krótkim czasie prawie wszyscy się schodzili. Wieczór, a czasem i noc całą spędzali

wtedy na wspólnym zaznajamianiu się, wypiciu kilku bruderszaftów, udziale-
niu nowoprzybyłemu rad i wyjaśnień, a wreszcie na chóralnych śpiewach...
Życie koleżeńskie było bardzo rozwinięte; studentów było mało, wszyscy się
znali doskonale, więc stosunki panowały szczerze i serdeczne. Mieszkało się
w różnych miejscach, przeważnie w samym mieście, zwykle po dwóch, nawet
trzech razem. Wille przy szosie /ul. Lubelskiej - Zwycięstwa/ dopiero w póź-
niejszych czasach zostały pobudowane...

Te skupienie, niewielka liczba kolegów i serdeczne stosunki z profesora-
mi, wywierały niezwykle dodatni wpływ na naukę i urabianie charakterów na-
szych w tej czysto polskiej, oddalonej od świata, kolonii naukowej, jaką
nawówczas były Puławy. Stosunek nasz do profesorów był nie tylko serdeczny,
ale i przyjacielski".

Trzeba przypomnieć, że Puławy były początkowo placówką prawie polską z
rosyjskim językiem wykładowym. Były to przecież czasy Aleksandra II, którego
relatywnego /w skali rosyjskiej/ liberalizmu nie odczuliśmy, bo akurat na
te czasy przypadło powstanie styczniowe. Wprawdzie na parę lat przed śmier-
telnym zamachem na tego cara, polityka uległa usztywnieniu, ale nawet wtedy
rozumiano, że Instytut Puławski jest przeznaczony przede wszystkim dla Pola-
ków. No, ale o tym w następnym rozdziale, poświęconym politycznemu życiu
Puławian.

Powszedni dzień studenta Puławianina był dość szczerze wypełniony. Przed
obiadem chodzono na wykłady. Trzeba było zresztą chodzić. Podręczniki, które
posiadała biblioteka były przestarzałe w stosunku do treści wykładów, a
skryptów nie było, bo technika powielania pozostawała jeszcze w zarodku i
Puławy nie stwarzały w tym zakresie żadnych możliwości.

Po wykładach oczywiście obiad u Engelsowej albo "własny garnuszek" w ja-
kimś cichym zakątku. Na ten "własny garnuszek" składały się - poza pieczywem
- jaja na twardo, kiełbasy, ryby wędzone albo śledzie. Coś wędzone prawie
nie kosztował, a śledzie, twarogi i jaja jeszcze mniej. Trochę droższe
były wędliny.

Zresztą u Engelsowej można było zamówić samą zupę i zaćpać się chlebem.

Przedsiębiorstwo Engelsowej stanowiło jednocześnie jadłodajnię, kawiar-
nię i to coś, co dzisiaj nazywamy garnażerią.

Tu chodzi dosłownie o garnażerię. Engelsowa słynęła z wysmażania "na
wynos" właśnie tego, co dzisiaj traktujemy jako importowaną, starą nowość,
określaną "szlachetnym" mianem "hamburgerów". Czyli że "odkrycie" hamburge-
rów jest właściwie tylko odwracaniem kota ogonem przy akompaniamencie muzyki
lu... przepraszam bardzo!... country music.

Zastosowanie tych przysmaków było takie same, jak dziś w Hamburgu i Nowym
Jorku. Studenci przekładali sobie nimi bułki.

"Zraziki Engelsowej", "befsztyczki Engelsowej" czy "kotleciki Engelsowej"
/takie były ich rozpowszechnione nazwy/ produkowały później inne knajpy pu-
ławskie aż do wybuchu pierwszej wojny światowej.

Drugą osobliwością działu garnażeryjnego "kombinatu gastronomicznego"
Engelsowej był "bigos w donicach". Zastaw za donice kwartowe był bardzo mały,
a za drutowane donice garncowe - spory.

W kwartowych donicach sprzedawała Engelsowa "na wynos" także zrazy napo-
leońskie.

A więc wiemy już, że po przedpołudniowych wykładach szło się do Engelse-
wej albo do cichego zakątka na własny garnuszek.

Po obiedzie trzeba było pracować bardzo intensywnie i bez oglądania się
na kolegów. Po południu odbywały się bowiem rozmaite zajęcia laboratoryjne,
warsztatowe, poletkowe /na Kępie/ itd. Kończyły się te zajęcia wczesnym wie-
czorem i wtedy można było odetchnąć.

Wszystkie wieczory były "wieczorami dyskusyjnymi". Poza sobotami i nie-
działami studenci schodzili się w większych kwaterach i zawzięcie dyskutowa-
li na wszystkie możliwe tematy. Czasem odbywały się czytania zbiorowe trudno
dostępnych, nie zawsze "legalnych" dzieł treści socjologicznej, gospodarczej,
politycznej itd.

Te dyskusje i wspólne czytania miały olbrzymie znaczenie. Wznosiły one na
wysoki poziom ogólne wykształcenie uczestników wieczornych spotkań, będących
nie tyle "godzinami myśli", ile ich wzajemnej wymiany.

Oczywiście nie trzeba tego wszystkiego nadmiernie idealizować. Często
i gęsto popijano wieczorami "gorzałę". Zresztą ta "gorzała" wcale nie wyklu-
czała poważnych rozmów. Raczej je rozogniała. Naturalnie tylko do momentu,

gdy rozpoczynały się chóralsne śpiewy.

Inaczej spędzano czas w sobotnie popołudnia i w niedziele. Wtedy kwitło życie towarzyskie w pełnym znaczeniu tego słowa.

Przed wszystkim bywano w domach: prof. Konstantego Małewskiego o prof. Aleksandra Karpieńskiego, prof. Antoniego Zielińskiego, dr Keawerego Paśkutowicza, Romana Święcickiego, Antoniego Orłowskiego, pp. Rolbieckich /Wieś Puławska/, Wernierów /na Mokradkach/, generałowej Rautensentrauchowej. Bywano także w okolicach Puław, u właścicieli ziemskich.

Na czym to życie towarzyskie polegało. A więc - zależnie od pory dnia - obiad, podwieczorek lub kolacja z ożywioną dyskusją, głównie na tematy literackie. Później zawsze dyskusja na wszelkie tematy, a oprócz tego... rozmawianie. Czasem trochę tańczono, trochę grano, trochę śpiewano. Zawsze wśród gospodarzy przyjęć i wśród gości znalazł się ktoś grający dobrze na fortepianie, ktoś z ładnym głosem. Chyba nie trzeba dodawać, że dobrych tancerzy nie brakowało nigdy.

Rozpowszechniło się recytowanie poezji naszych trzech wieszczów oraz wszystkich poetów, którzy kiedyś byli związani z Puławami /Franciszka Dyonizego Kniaźnina, Kajetana Koźmiana, Kajetana Jaxa-Marcinkowskiego, Juliana Ursyna Niemcewicza, Jana Pawła Woronicza/. Powodzeniem cieszyły się także utwory Seweryna Goszczyńskiego i Bohdana Zaleskiego. Cyprianowi Kamilowi Norwidgeowi daleko jeszcze było do popularności.

Domorośli puławscy poeci mnożyli się, jak grzyby po deszczu, ale z ich dorobku prawie nic nie ocalało.

Studenci zamieszani w historię bywali chętnie u generałowej łucji z Gedroyców Rautensentrauchowej, powieściopisarki i polskiej prekursorki opowiadań podróży. Generałowa bardzo ceniła sobie młode towarzystwo. Lubiła opowiadać o dawnych czasach. Mówiła interesująco i można było słuchać jej opowieści całymi godzinami.

Podobno do najbardziej lubianych przez studentów gawędziarzy puławskich zaliczał się wuh Henryka Siemkiewicza Adam Cieciezowski, który po opuszczeniu rodzinnej Okrzei osiedlił się na stare lata w Puławach.

W pierwszym puławskim okresie istnienia IGWiL żyło jeszcze w Puławach sporo dawnych dworzan Czartoryskich. Można się było od nich dowiedzieć wielu interesujących szczegółów sprzed powstania listopadowego.

W zapisanych wspomnieniach Puławiaków nie znajdujemy żadnej wzmianki o więziach przyjaźni łączących studentów z pewną rodziną piekarzy, którzy pomagali instytutowym "zbożowcom" w pracach badawczych nad jakością wypieków rozmaitych odmian pszenicy. Po prostu otrzymywali z Instytutu określone ilości mąki z badanego ziarna, wypiekali z tej mąki bułki i przekazywali te bułki do degustacji.

Czytałem gdzieś /zapomniałem gdzie/, że tego rodzaju badania rozpoczęły się w Polsce dopiero w latach dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia. Starzy Puławiacy zapewniali mnie natomiast, że badania z tego zakresu były wszczęte z inicjatywy Ottona Kubickiego i prowadzone pod jego kierunkiem. Kubicki wyjechał z Puław w połowie 1988 r. A więc wchodziły w grę lata siedemdziesiąte.

Studenci bywali w domu tych zasłużonych dla wymienionych badań piekarzy, a jedna z piekarek wyszła nawet za mąż za puławskiego studenta, o którym wiadomo tylko tyle, że odziedziczył po rodzicach wielki młyn wodny.

Nazwisk osób, które by nas mogły zainteresować w związku z tą sprawą, nie da się chyba już nigdy ustalić. Za późno.

Do osób o szczególnie wielkich walorach towarzyskich zaliczali studenci Feliksa Erlickiego, sekretarza i księgowego Instytutu. Jego dowcipy obiegały cały kraj. Szkoda, że się nie zachowały. Niektóre z nich były okraszane w języku studenckim jako "wiecznotrwałe".

Latem, jeśli była ładna pogoda, spędzano czas inaczej. Najczęściej wyprawiano się wozami drabiniastymi do Janowca, Kazimierza, Nałęczowa albo Wąwolnicy. Ale nie zawsze celem tych wycieczek było "łono natury" lub "świeże powietrze". Tak np. wyprawy do Kazimierza łączono najdosłowniej z lekcjami

historii Polski, do których wszyscy uczestnicy musieli się odpowiednio przygotować.

Pobyt w Kazimierzu nakładał na wycieczkowiczów jeszcze drugi obowiązek. Mianowicie tradycyjne popijanie wina. Niestety katolicka knajpa w ratuszu miewała zwykle tylko dość podłe cienkuszki. W dobre węgryzyny można się było jednak zaopatrzyć u pewnego Żyda, którego głębokie, wspaniale zaopatrzone piwnice podchodziły aż pod mury klasztoru Reformatów.

Wielką osobliwość tych piwnic stanowiły wina owocowe uszlachetnione przez czas. Podobno nawet rzetelni znawcy dobrych win gronowych oceniali je bardzo wysoko. Ich producent charakteryzował je następująco:

"Jaśnie Wielmożny Panie! Każde wino owocowe, to ono jest naprzód okropny gift. I na drugi rok to ono jest także gift. Ale jak ja je długo potrzynam tu, w tej piwnicy, to ono się robi dobre lekarstwo. Ale za długo to ono nie może sobie leżeć, bo potem to ono chociaż nie jest już gift, ale jest nic, albo paskudztwo".

Wprawdzie katolickie knajpy Kazimierza nie miewały takich dobrych win, jak Żydzi, ale podawały wyjątkowo dobre "ryby z wody", czyli "ryby po polsku".

Ktoś dziś mógłby się zdziwić: co to za specjalność, przecież rybę z wody było dziecko potrafił przyrządzić?

Tak to sobie wyobrażają współcześni barbarzyńcy, którzy gotują rybę po prostu w solonej wodzie z odrobiną /symboliczną/ marchewki, pietruszki i cebuli. Co za dzikusy! Ryby "z wody" gotowało się w stężonym wyciągu z warzyw i przypraw. Ziarna pieprzu sypało się /bez mielenia/ do tego wyciągu garściami.

Oczywiście każda knajpa miała swoje własne przepisy na sporządzanie tych wyciągów. Nikt jeszcze nie przewidywał, że czterej jeźdźcy Apokalipsy przywiozą nam recepturę ogólnokrajową, która nawet sól zaoszczędzi.

Ale zapędziliśmy się już za daleko. Musimy jeszcze prześledzić czynności studenta świeżo przybyłego do Puław. Wiemy na razie, że przyjechał, odżywił się u starej Engelsowej i gdzieś tam przenocował. Oczywiście musiał załatwić jakieś formalności w Instytucie.

Teraz musiał wynająć sobie jakąś kwaterę albo stancję /"kwaterę" wynajmowało się na krótko, "stancję" na dłużej/ na Włostowicach lub na Mokradkach, albo w "mieście".

Rozwiązanie sprawy lokalowej zapewniał usłużny faktor, który z reguły sam nawijał się pod rękę. Rolę pośredników mieszkaniowych odgrywali naturalnie miejscowi Żydzi. Wielką sławę cieszył się wśród studentów lat siedemdziesiątych niejaki L e j z o r. W latach późniejszych /osiemdziesiątych/ zastąpił go znany z ogromnej solidności Suchar S z a b a s o n, którego groźnym konkurentem stał się całkowicie nieprzeciętnie sprytny H a s k i e l słynący ze swej "wszechwiedzy" na wszystkie puławskie tematy. Podobno nic się przed Haskielem nie ukryło, ale nie można było sobie po prostu wyobrazić, żeby ten faktor czegoś ku pełnemu zadowoleniu swoich klientów nie załatwił.

Na przełomie stuleci działał głównie następca Szabasona i Haskiela - J o j n e, którego uważano za dużo mniej wybitną postać. Słynął tylko z uczciwości i dobrej woli.

Ale to jeszcze nie wszystko. Trzeba się było odpowiednio ubrać, żeby upodobnić się zewnętrznie do kolegów.

Wprawdzie w Instytucie miały obowiązywać ciemne uniformy z naramiennikami i złotymi galonami /takie same, jak w Uniwersytecie Warszawskim/, ale w pierwszych latach nikt się do tych mundurowych przepisów nie stosował. Polacy nosili tzw. huzarki lub ułanki.

Huzarki noszono brązowe, z niebieskim podszyćciem, ze srebrnym lub złotym szamerunkiem. Tzw. ułanki robiono z białego sukna samodziałowego. Wyłogi były niebieskie /"Litwini"/, albo purpurowe /czasem amarantowe - dla "Koroniarzy" i "Podolaków"/. Podszywka czerwona lub niebieska. Stary Berek Fałenbojgen, który jeszcze Politechnikę przed powstaniem obszywał, lubił szczególnie nie ułanki i każdemu je polecał, powołując się na lokalne tradycje.

Huzarki, jako stroje mniej brudzące się, zwyciężały okresowo wśród nieza-

możnej młodzieży, ale z biegiem czasu musiały ustąpić placu efektowniejszym i zgrabniejszemu użankom, które zmieniały jednak kolor ze względów praktycznych. Następca starego Berka, nie mniej od tamtego popularny Chil A l t m a n /mieszkał w okolicy dzisiejszego domu handlowego przy ul. Zwycięstwa/ robił je najczęściej z siwego lub burego samodziału, wyrabianego /podobnie jak brązowe sukno na huzarki/ w okolicach Końskowoli.

Szamerunki u ułanek zawsze były złociście. Czapki przypominały chłopskie maciejówki /kolor huzarek lub ułanek/.

Buty noszono długie, kawaleryjskie, a spodnie szyto rozmaite, często typu "bryczesy" z lampasami szaserскими: purpurowymi, amarantowymi, niebieskimi lub biało-czerwonymi, względnie biało-niebieskimi.

Ale to jeszcze nie wszystko. Każdy szanujący się student musiał mieć laskę "Puławiankę" produkcji Chaima G o l d m a n a. Była to laska wiśniowa z naturalną, choć obtoczoną gałką, ze zrakowaciałej nasady korzeniowej. Takie laski wyrabiano w Puławach jeszcze za Czartoryskich. Dostawali je w prezencie goście zaprzyjaźnieni z rodziną księżęcą.

O laskach "Puławiankach" pamięta się do dzisiejszego dnia. Zapomina natomiast zupełnie o "Kazimierkach", zwanych inaczej "Kaczkami". Kaczki były to kije zakrzywione jednostronnie i ułatwiające wspinanie się po zakrzewionych zboczach, bo można było przy ich pomocy ucześcić się krzaka i podciągnąć trochę do góry.

Rączki tych lasek były poziomo spłaszczzone. Przypominały kacze dzioby. Stąd "Kaczki".

W latach osiemdziesiątych pojawiły się w Nałęczowie laski "Nałęczowianki", przypominające kule dla beznogich. Ale te "Nałęczowianki" nie miały nic wspólnego z jakimiś tradycjami ludowymi czy szlacheckimi. Po prostu zostały przez kogoś wymyślone. Podobno przez Bolesława Prusa. Szybko zniknęły.

A jak się mieszało studentom w Puławach? Rozmaicie. Było trochę stancji umeblowanych, obliczonych na jedną osobę lub dwie. Jeśli przyjmowano więcej osób do jednego pokoju, to z reguły wchodziła tu w grę izba, w której były tylko drewniane wyry, kulawy stół i kilka stołków. We włostowickich dwójniakach trudno było nawet o stołki. Zastępowały je ławy. Dlaczego? Nie wiem!

Ale większość młodych ludzi miała małe wymagania. Obejmowało się w posiadanie wyro, pod wyro wrzucało się walizkę, torbę lub skrzynkę, nad wyro wieszano się ryngraf. Jeszcze trzeba było zapasowy przyodziewek, otulony prześcieradłem, gdzieś na gwoździach powiesić. I już się mieszało.

Bardzo rzadko oferowało się studentom szafę lub kącik w szafie. Ta tradycja okazała się niesłychanie twarda i uporczywa. Jeszcze w okresie międzywojennym, gdy studentów zastąpili gimnazjaliści sztubacy, trafiały się stancje wręcz lukusowo urządzone, ale bez szaf.

Jeden ze studentów puławskich wspominał, że miał w swoim drogim, umeblowanym pokoju siewantkę, komodę, sofę, dwa skórą obite wygodne fotele, ale o dostępie do szafy nawet mowy być nie mogło. Gdy zamówił sobie szafę u miejscowego stolarza, gospodyni była bardzo niezadowolona. Po co takiemu szafa? Rozchmurzyła się dopiero wtedy, gdy ją zapewnił, że opuszczając Puławę zostawi jej nieodpłatnie tę szafę.

Wszyscy przybywający do Puław studenci Polacy musieli się zameldować u dr K a w e r e g o P a s i u t e w i c z a, który ich badał i zaopatrywał w dobre rady. A rady te okazywały się często bardzo potrzebne.

Od 1862 r. aż do lat dwudziestych bieżącego stulecia nie wyprowadzała się z regionu puławskiego czarna ospa. Nie było roku, żeby się gdzieś nie pojawiła. Chorowali na nią mieszkańcy Puław, Kazimierza, Nałęczowa, Kurowa, Markuszowa, Baranowa i wszystkich okolicznych wiosek. Dziobatych było mnóstwo.

Puławę leżą na szlaku: Warszawa - Lublin i dalej, a także na szlaku Lublin - Radom i dalej. W Puławach był spory garnizon. Przez Puławę odbywały się wędrówki ludzi związanych z "przemysłem" chałupniczym Końskowoli /powroźnictwo i eukiennictwo/, Kurowa /futrzarstwo/ i Radomia /obuwnictwo/. Wreszcie Instytut zaczął ściągać anastorów wiedzy z całego Imperium.

I tak wędrowali ciągle ludzie przez to nasze miasteczko nad rze/cz/kę wlokąc ze sobą nie tylko ospę, ale i tyfusz, czerwonkę oraz rozmaite inne choroby.

Tyfus brzuszny mieszał stale w regionie puławskim, a tyfus plamisty

przybywał dość często ze wschodu.

Etiologia tyfusu plamistego nie była znana w zeszłym wieku, ale Pasiutewicz miał swoją własną teorię na temat tej choroby. Krążył już wokół trafnego rozwiązania, bo przenoszenie "zarazków" tego duru przypisywał wozom. Ale w sedno jeszcze nie trafił, bo o to samo podejrzewał pluskwy i pchły.

Bardzo interesujące były poglądy dr Pasiutewicza na rozpowszechnienie pluskiew. Jego zdaniem ich występowanie miało się wiązać z gniazdami jaskółczymi. Wprawdzie nauka tego dotychczas nie udowodniła racjonalistycznie, ale starzy Puławiaczy uważali, że obserwacje dr Pasiutewicza potwierdzają się w praktyce.

Czerwonka nosiła w studenckim języku nazwę "śliwownicy". Wprawdzie pojawiała się w różnych porach roku, ale prawdziwą plagę stanowiła w okresach dojrzewania śliwek. Pasiutewicz zalecał dokładne mycie śliwek w przegotowanej wodzie.

W związku z czerwonką i tyfusem brzuszny warto zaznaczyć, że ścieki z koszar tworzyły uroczy strumień spływający przez park do Łachy Wiślanej. Dzieje powolnego zanikania tego strumienia należą do historii PRL.

A w Łasze Wiślanej, w pobliżu ujścia wojskowego strumienia, przy moście prowadzącym z "fermy" na Kępę, kąpała się młodzież i dzieciarnia.

Ospę, tyfus brzuszny i czerwonkę można śmiało zaliczyć do dawnych stałych mieszkańców Puław. Tyfus plamisty i cholera trzeba traktować jako częstych gości. Sądzę, że odwieczyny cholery w naszym miasteczku są gdzieś zarejestrowane. Warto byłoby zapoznać się z aktami dotyczącymi tej sprawy.

Z kolei - choroby dróg oddechowych. Dr Pasiutewicz rozróżniał podobno grypę i tzw. zakatarzenia. Twierdził, że przed mrozami mamy do czynienia tylko z zakatarzeniami i że występowanie grypy wiąże się z mrozami.

W kilkadziesiąt lat po śmierci dr Pasiutewicza powiedzielibyśmy, że drobnoustroje grypy muszą ulec "jarowizacji mrozowej", żeby wywołać odpowiednie efekty chorobowe.

Częstym następstwem "grypy oskrzelowej" było zapalenie płuc i "suchoty" /gruźlica/. A w ogóle suchoty były w Puławach stale bardzo modne.

Zasługujące na uwagę są poglądy doktora Pasiutewicza na społeczne zróżnicowanie śmiertelności chorych. Biorąc pod uwagę ogół chorób, stwierdził Pasiutewicz, że śmiertelność wśród ludności uboższej stanowiła procentowo wielokrotność w stosunku do śmiertelności wśród warstw lepiej usytuowanych. Zupełnie inaczej wyglądała śmiertelność w obrębie samych "suchotników". Tu nie było różnic społecznych. Puławscy kuracjusze Meranu wymierali tak samo, równie szybko i skutecznie, jak mieszkańcy wilgotnych nor na Mokradkach, którzy nigdzie na kurację nie wyjeżdżali.

Wprawdzie dziecięce choroby przenosiły na-tamten świat głównie dzieci, ale zdarzyło się, że kilkunastu studentów zostało skoszonych przez szkarlatynę, odrę i dyfteryt.

Puławskie centrum syfilisu mieściło się na tzw. "Pieprznych Górkach" koło koszar. W środowisku studenckim Puław choroby weneryczne były mało rozpowszechnione.

Wprawdzie dr Pasiutewicz nie należał do zwolenników znachorstwa, ale w przypadku tzw. "róży" odesyłał pacjentów do znachorów lub "babek". Fachowa lekarska terapia nie pomagała tu bowiem nigdy, a "zamawianie" pomagało zawsze.

To wcale nie dowcip.

Z tymi wyżej wymienionymi chorobami było sporo kłopotu, ale najwięcej roboty przysparzały dr Pasiutewiczowi rozmaite codzienne "bolenia brzucha". Słynne krople Inoziemcowa nie zawsze pomagały. Często zdarzały się bowiem zatrucia jadem kiełbasianym oraz tzw. skręty kiszek.

Jakby mało było jeszcze tego wszystkiego, musiał ponadto Pasiutewicz jeździć często do Kurowa, gdzie wśród tamtejszych garbarzy, skórników i futrzarzy szerzyły się oprócz karbunkułu /wąglika/ rozmaite choroby skórne.

Dzięki energii dr Pasiutewicza powstały w Osadzie Pałacowej łazienki. Ale w pierwszych latach istnienia IGWił można się było kąpać tylko w korycie albo w Wiśle.

Puławską służbę zdrowia składała się w pierwszych latach istnienia IGWił z dwóch dobrych lekarzy - Pasiutewicza i W o l f a /Wilka-Wilczyńskiego/ oraz jednego świetnego felczera, którego nazwisko zostało zapomniane. Słynni znachorzy mieszkali w Kazimierzu i Wawolnicy, ale dobrą reputację cieszyły

się także trochę mniej słynne, puławskie baby-zielarki, które ze względu na umiejętności wróżbiarskie, określane były przez studentów ze wchodu, także gadałkami lub worożychami.

Worożycha z podwóostowickiego Gościńczyka funkcjonowała głównie latem, a jej specjalnością były leczenie zewnętrzne drogą stosowania okładów ze świeżych, zmielonych ziół. Do użytku wewnętrznego stosowała szybko przygotowane soki roślinne o tajemniczym składzie.

Co się tyczy tych okładów na rany i czyraki, to podobno nawet dr Pasiutewicz uważał je za niezawodne. Do soków worożychy z Gościńczyka odnosił się lekarz podejrzliwie.

Studenci twierdzili, że worożycha "Gościńczykowa" miała w swoim dorobku całkowite wyleczenie tymi sokami syfilisu, co podówczas uważano za rzecz niemożliwą. Ktoś twierdził, że wyleczyła także pacjenta z choroby rakowej.

Worożycha z rynku leczyła głównie zimą i stosowała na zewnątrz i do wewnątrz wywary z ziół suszonych.

Obie worożychy stosowały na niektóre rany i czyraki specjalnie spreparowane chleb spleśniały z pajęczyną.

A co z dentystryką?

Parodontozę leczono u młodych bardzo skutecznie drogą zakazu jedzenia jasnego pieczywa. Razowiec zabezpieczał przed tym schorzeniem albo je nawet leczył. Gorzej było z próchnicą, którą podobno próbowano leczyć w Radomiu i w Lublinie. Puławy miały natomiast /głównie w okolicach/ doskonałych "rwaczy", którzy do zabiegów usuwania zębów nie potrzebowali nawet szczypięć.

Śledźmy dalej losy naszego studenta z pierwszych lat istnienia IGWiL. Wiemy, że przyjechał kurierką lub "omnibusem", zapisał się na studia, popił gorzałę z kolegami, zjadł parę obiadów u Engelsowej, zawarł znajomości z inteligencją puławską, zwiedził okolice Puław, sprawił sobie huzarkę lub ułankę, kupił sobie laskę "Puławiankę" i zameldował się u dr Pasiutewicza. Co dalej?

Ano! Teraz trzeba było pomyśleć o nauce. Tylko studenci znający język niemiecki znajdowali się w wygodnej sytuacji. Biblioteka Instytutu była świetnie zaopatrzona w podręczniki niemieckie ze wszystkich dziedzin rolnictwa i leśnictwa oraz dyscyplin podstawowych, pokrewnych i pomocniczych. Jednak większość studentów znała poza polskim tylko język francuski. Francuskich podręczników było w Puławach mało. Rosyjska literatura podręcznikowa przedstawiała się wtedy jeszcze zbyt skromnie. Polska działalność wydawnicza uległa po powstaniu styczniowym zahamowaniu. Trzeba się było nastawić na słuchanie wykładów i robienie dobrych notatek.

Bardziej zapobiegliwi i pracowici studenci robili odpisy notatek kolegów z lat poprzednich. Możliwa to była praca, ale o powielaniu skryptów jeszcze nie mogło być mowy.

W ogóle trudno było zmieścić się w czasie. A przy tym, samym uczeniem się programowych przedmiotów, trudno było żyć. Potrzebna była zresztą nie tylko rozrywka, ale i pozaprogramowe poznawanie rozmaitych spraw tego świata. Czynną rolę odgrywały małe zebrania referatowe, odbywane w wąskim gronie, a poświęcane sprawom historycznym, literackim, filozoficznym, no i politycznym.

O sprawach politycznego życia młodych Puławianków będzie mowa w następnym rozdziale. Oczywiście zebrania polityczne rozpalały najsilniej serca i umysły. Ale i przed innymi zebraniem odczuwano zawsze pewne podniecenie. Zawsze bowiem mówiono o rzeczach interesujących. Przy tym nigdy nie było wiadomo, co kto powie. Także w tych przypadkach, kiedy wszyscy wiedzieli jakąś grupę światopoglądową reprezentuje. Bardzo silnie uwypuklały się indywidualne cechy ludzi. Ludzie nie myśleli kompleksami czy schematami. Każdy tworzył swój własny porządek świata pojęć i po swojemu konstruował ich hierarchię. Wieloosobowe czy wręcz wieloludne monolity światopoglądowe były wprawdzie już propagowane w środowiskach niemieckich i rosyjskich, ale umysłowości polskiej były całkowicie obce. Jeśli dochodzono do wniosku, że koledzy X i Y mają całkowicie jednakowe poglądy na wszystko, to stawali się oni pośmiwiskiem. Uważano, że nawet bracia sjamecy mają prawo do rozamitego spojrzenia na świat. Nie wykluczało to dążenia do pełnej solidarności, która miała

się jednak opierać na poszczególnych, określonych kryteriach, a nie na ogólnym bliźniactwie, jeśli w grę nie wchodziło bliźniactwo biologiczne.

Stąd właśnie /m.in./ wynikała zupełna niemożność wzajemnego rozumienia się pomiędzy młodymi Polakami a ich rosyjskimi kolegami, związanymi z kołami kształtującej się podówczas "Ziemli i Woli". Wielu "ziemiowolców" uwierzyło w monolit ogólnoludzki na 100 lat przed wyczynami Pol-Pota w Kambodży.

Wprawdzie powstanie styczniowe nie stanowiło świadectwa realizmu myślenia młodych Polaków, ale jednak - zdaniem byłych studentów Puławiaków - Polacy wykazywali większe zdolności do realistycznego myślenia o świecie niż ich rosyjscy koledzy, którzy uważali za realne to wszystko, co się da logicznie wymyślić.

To stwierdzenie nie pochodzi od autora monografii, lecz od byłych studentów IGWiL oraz dziadka autora.

Antyrealistyczny racjonalizm "ziemiowolców" wyraził najlepiej jeden ze studentów z kół ziemiowolskich /oczywiście Rosjanin/, który twierdził, że wysoki poziom wiedzy specjalistów powinien wykluczyć nawet doświadczalnictwo rolnicze. Każde doświadczalnictwo jest bowiem wyrazem braku znajomości przedmiotu prac doświadczalnych.

Część "ziemiowolców" wyobrażała sobie, że czas da się cofnąć, że wielkie miasta uda się w przyszłości zlikwidować, że człowiek osiągnie szczęście w prymitywnym bytowaniu na wsi.

Wprawdzie wiele jeszcze lat miało upłynąć do zaburzeń psychopatycznych Lwa Tołstoja, ale - jak wiadomo - ziemiowolscy "tołstojowcy" wyprzedzili Tołstoja, głosząc "parareligię samoobsługi" i wypowiadając walkę specjalistycznemu podziałowi pracy. Ta parareligia nie ogarnęła zresztą całości mas ziemiowolskich i stała się jedną z przyczyn rozkładu "Ziemli i Woli", która miała wprawdzie za sobą wieloletnią przeszłość, ale w ramach pełnoorganizacyjnych przetrwała zaledwie trzy lata /1876-1879; obejmowała wówczas całe Imperium Rosyjskie/.

Te ostatnie zdania to jakby dygresja, składająca się z uwag pasujących raczej do następnego rozdziału, poświęconemu życiu politycznemu Puławiaków. Ale to tylko pozorna dygresja. Tu chodzi o wyjaśnienie trudności wzajemnych kontaktów pomiędzy Polakami i Rosjanami w puławskim środowisku studenckim.

Inteligencję rosyjską charakteryzował uparty, przesadny pryncypializm, który był obcy Polakom. Ta słynna rosyjsko-inteligencka "pryncypialna toczka zrienijsza" przeszła do historii i stała się przedmiotem wielu anegdot.

W związku z tym przytoczymy tu charakterystyczny przykład.

W "repertuarze" arcydzieł sztuki cukierniczej starej Engelsowej zajmowały pokaźną pozycję doskonałe polsko-niemieckie baumkucheny, czyli sękacze. Otóż kiedyś profesorstwo Malewacy zaprosili do siebie na podwieczorek kilku studentów Polaków i jednego Rosjanina - chyba J e w t u s z e w s k i e g o /Klimientija Stiepanowicza/. Podano kawę i sękacz. Jewtuszewskij odmówił jedzenia sękacza, twierdząc, że to bardzo pracowity wyrób, z którego wycieka pot i krew czeladników Engelsowej. Zjadł natomiast jakieś ciastko, uzasadniając możliwość jego "etycznego" zjedzenia tym, że mogło ono powstać w ramach samoobsługi.

Po paru latach Jewtuszewskij został tzw. rządcą Końskowoli i tam bez żadnego skrępowania wyciskał pot i krew z robotników rolnych. Stał podobno na stanowisku, że jest usprawiedliwiony, bo wchodzi w grę majątek nieprywatny. Możliwe zresztą, że zmienił poglądy.

O tym dziwactwie "pryncypialnym" Jewtuszewskiego opowiadała mi przed laty córka prof. Malewskiego, Helena z Malewskich W o j e w ó d z k a, jedna z moich "przyszywanych" ciotek. Moi rozmówcy spośród byłych studentów IGWiL potwierdzili prawdziwość incydentu z sękaczem, ale upierali się, że tu w grę nie wchodził Jewtuszewskij, tylko jakiś inny student, rodak wymienionego.

W trochę późniejszym czasie dla produktów rozkładu "Ziemli i Woli", a więc dla rozmaitych "Narodowolców" i "Czarnoprzedziałowców" /w polskiej gwarze studenckiej "Czarnopierdzielców"/ z przyległościami, dyskusyjnym pepkiem świata stał się poczciwy Żyd Matys "G e r b a t y", reperujący studentom buty. Otóż ten Matys miewał zwykle kilku terminatorów. Oczywiście to Matys był ich "łaskawcą", a nie oni jego dobroczyńcami, bo Matys nie miał z nich wiele pociechy, a oni uczyli się zawodu. Tymczasem ci prześmieszni "narodnicy puławscy" doszli do wniosku, że Matys eksploatuje siły ludzkie, że jest bez-

względny i brutalny wyzyskiwaczem i że trzeba go bojkotować.

Wobec tego zaczęli buty reperować u Nuchima F l a j s z m a n a, który był tak kiepskim rzemieślnikiem, że nikt nie posyłał do niego chłopców na naukę szewstwa.

Ala to jeszcze nie wszystko. Sprawa Matysa stanowiła przedmiot nie kończących się dyskusji. Rozstrzygano zagadnienie, czy ten nieszczęsny Matys jest eksploatorem, a jeśli tak, to czy należałoby go uśmiercić w przypadku przewrotu. Na jedno z takich zebrań poświęconych Matysowi zaproszono kiedyś kilku tzw. socjalizujących Polaków, m.in. któregoś z H r e b n i c k i c h i Konrada N i e d z i a ł k o w s k i e g o. Oba wymienieni doszli do zgodnego wniosku, że ta gromadka "Narodników", z którymi mieli do czynienia, stanowi zbiorowisko psychopatów dobranych drogą jakiegoś dziwnego zbiegu okoliczności. Dopiero jeden z R o h o z i Ń s k i c h wytłumaczył im z wielkim trudem, że taki dziwny sposób myślenia jest dość typowy dla ogółu zwolenników ruchu narodnickiego.

Zresztą ci przedłożeni narodnicy byli właściwie niekonsekwentni. Sami powinni byli naprawiać sobie obuwie. Reperując je u Nuchima, poniżali jego godność ludzką, chociaż przyczyniali się do uratowania tego niezdarnego szewca od śmierci głodowej. Chyba jednak nie przemyśleli tej sprawy do końca i nie uzyskali w jej zakresie pełnej świadomości.

Te rozważania na temat Matysa pasują także do następnego rozdziału, ale i tu były potrzebne dla wyjaśnienia trudności współżycia Polaków z Rosjanami. Tu już nie wystarczyło powiedzenie, że jeden mówił o psie, a drugi o kocie. W Puławach utarło się powiedzenie: "ja do niego o psie, a on do mnie o tulipanach".

I tak wdarliśmy się niepostrzeżenie w nowy okres życia codziennego Puławaków. Okres związany z uruchomieniem w 1877 r. tzw. Kolei Nadwiślańskiej.

Wiele się wtedy zaczęło zmieniać. Przy tzw. szosie radomsko-lubelskiej /późniejsza ulica Lubelska, Zwycięstwa/ powstały liczne domki, w których przewidziano lokale sklepowe i kwatery dla studentów. Dzięki temu nastąpiło połączenie osad wokółrynkowych z dzielnicami przypałacowymi.

Nowa sytuacja mieszkaniowa pociągnęła za sobą upadek tradycyjnej demokracji marymonckiej i rozwarstwienie polskiej młodzieży studenckiej. Uboższa i bardziej demokratyczna studenteria puławska utrzymała się na starych, tańszych kwaterach "miasteczkowych", mokradeckich i włostowickich. Młodzież zasobniejsza i w większości mniej demokratyczna przeniosła się do wygodniejszych, ale dużo droższych kwater w tzw. willach na "szosie".

Odległość pomiędzy tymi grupami kwater malała w suche lata i prożne zimy, ale rosła wiosną i jesienią, oraz w mokre lata. Była stosunkowo niewielka dniem /bo za dnia łatwiej było mieć największe kałuże/, ale spora nocą /bo po ciemku wpadało się czasem w kałuże po pas/. Kluczową rolę odgrywało tu słynne puławskie błoto. Zabezpieczano się przed tym błotem drewnianymi chodnikami, ale te - źle zresztą utrzymywane - chodniki ze sterzącymi gwoździakami ułatwiały nie tylko przechodzenie suchą nogą, ale i wpadanie do bardzo głębokich kałuż, tworzących się w przychodnikowych rowach.

Te deskowate chodniki kładziono zresztą nie wszędzie. Z reguły nie kładziono ich tam, gdzie błoto było najgłębsze.

W rezultacie te małe, chociaż bardzo ważne, prawie cwieczorne zebrania rozdzieliły się "harmonijnie" według kryteriów społeczno-mieszkaniowych. Te bardziej demokratyczne odbywały się nadal w obrębie Mokradek i Włostowic. Te bardziej konserwatywne zlokalizowały się "przy szosie".

Wprawdzie w Puławach nie było jeszcze wtedy żadnej korporacji, ale studenteria "z szosy" zorganizowała się samorzutnie w "Koło Polskie" typu korporacyjnego. Zaczęto urządzać nawet tzw. fuksówki dla świeżo przyjętych studentów /te fuksówki urządzało w latach 1877-1883/. Do zebrań wieczornych wprowadzono więcej elementów o charakterze czysto zabawowym. Pito mało gorzałki, więcej szlachetnych trunków.

W kołach mokradecko-włostowickich działało się odwrotnie. Zebrania stawały się coraz poważniejsze. Przy tym pito więcej siwuchy, a mniej wina.

Ala w domach inteligencji puławskiej zmieniło się niewiele. Bywali w nich zarówno ci z "szosy", jak i ci z terenów mokradecko-włostowickich. Tylko same domy powoli się zmieniały. Zanikały jedne, pojawiały się drugie. Rusyfikacja uczelni rozpędziła polskich profesorów. Śmierć także ich kosiła. Do

rangi inteligencji awansowały natomiast rodziny niektórych przedsiębiorstw. Rusyfikacji towarzyszyła polonizacja. Rusyfikacja polegała głównie na wymianie osób. Polonizacja następowała w procesie zmiany narodowości przez te same osoby. Polonizowali się Niemcy.

Coś jest jednak atrakcyjnego w kulturze polskiej. W 1880 r. było w Puławach wiele rodzin niemieckich. W 1890 r. roziło się w Puławach od Polaków o niemieckich nazwiskach. Starzy Albrychtowie, Wernerowie, Knoblauchowie, Stumpfowie itd. mówili w domu po niemiecku. Ich progenitura posługiwała się na co dzień wyłącznie językiem polskim.

Stopniowo dezaktualizowały się domy Malewskich, Karpińskich, Zielińskich, generałowej Rautenstrauchowej, ... Rozkwitały domy Bogenhardtów, Albrychtów, Wernerów.

Coś w rodzaju "mikrodomów" otwartych prowadziły coraz liczniejsze wdowy: Antonina Orłowska, Kamińska, Łabęcka ...

Najtrwalszy okazał się dom Pasiutewiczów i Hollaków. Przetrwał do drugiej wojny światowej. Wtedy stał się kupą gruzów uprzętniętych z czasem przez władze miejskie.

U tzw. "obywateli" /właścicieli ziemskich/ bywało coraz rzadziej. Stale otwarty był tylko dom Kruszeńskich w Osinach. Ale to był dziwny dom. Przyjmowano w nim nie paniczów z "szosy", tylko samych radykałów. A panny Kruszeńskie produkowały bomby i rzucały je na carskich dygnitarzy.

Bardzo ceniono galony Albrychtów, Bogenhardtów i Wernerów. Były obszerne. Mogły pomieścić wiele osób. Stwarzały wspaniałe warunki dla tancerzy, umożliwiając nawet "rasowe" wykonanie ognistego mazura.

W latach dziewięćdziesiątych przybyły jeszcze domy Pietruszczyńskich /moich dziadków/, Horodyskich /dr Horodyski był lekarzem urzędowym Instytutu/, Zulińskich /p. Zuliński był zawiadowcą stacji kolejowej Puławy/, i Broniewiczów. O kilku innych domach wspomnę jeszcze później.

Po otwarciu Kolei Nadwiślańskiej pojawiali się w Puławach coraz częściej interesujący goście, wśród których królował Aleksander Głowacki - Bolesław Prus. Poza Prusem do stałych bywalców Puław zaliczali się: znany powieściopisarz Marian Gawałewicz /1852-1910/, literat i publicysta Włodzimierz Pasowicz /1829-1906/, krytyk teatralny i recenzent muzyczny Władysław Bogusławski /1836-1909/, sędziwy literat i dziennikarz Wacław Szymański /1821-1886/, redaktor wielu czasopism Tadeusz Czapełski /1853-1930/, światowej sławy malarz Michał Andriolli /1836-1895/, kompozytor Władysław Zeleński /1837-1921/, kompozytor i producent fortepianów Ludwik Grośman /1835-1915/ i wielu innych. Wszyscy oni interesowali się bardzo życiem umysłowym polskiego środowiska studenckiego w Puławach. Przychodzili chętnie na wieczorne zebrania organizowane przez studentów, zabierali często głos, a nawet wygłaszali "improwizowane" referaty.

Małe zebrania z udziałem warszawskich gości odbywały się u Pasiutewiczów i Hollaków /zburzony we wrześniu 1939 r. dworek przy ul. Czartoryskich/, u Pietruszczyńskich /główny gmach Instytutu/, u kuzynów Prusa Cymanów /3 domki sąsiadujące z dworkiem Pasiutewiczów - Hollaków/, a także na stancjach, czyli kwaterach "przy szosie": w "Berkówce" Berka Flajsmana /okolice dzisiejszego domu handlowego/, w "Bogenhardówce" naczelnika powiatu Bogenhardta /w miejscu, gdzie dziś urzęduje RKU/, w "Langówce" urzędnika powiatowego Langego /przy dzisiejszej ul. Zwycięstwa/ oraz w tzw. "Małej Albrychtówce" czyli w willi "Pod lipami" inżyniera architekta i właściciela betoniarń Albrychta /przy alei Małej, dziś alei Gagarina/.

Miejscem większych zebrań była willa Albrychtów "Mikado", tzw. "Wielka Albrychtówka" /przy ulicy Japońskiej/. Obszerne pomieszczenia

*/Ulica Japońska biegła obok obecnego domu KM PZPR od ulicy Zwycięstwa w kierunku północnym.

"Wernerówki" przedsiębiorcy W e r n e r a /róg Kazimierskiej i Gościńczyka służyły raczej dla urządzania imprez rozrywkowych, ale i tam zdarzały się tzw. "wieczory literackie".

Ktoś kiedyś powiedział, że każde miasto czy miasteczko ma swój specyficzny zapach i swoje specyficzne dźwięki. Nie jest w tym wiele prawdy, ale trochę jest.

Wielkie miasta chyba nie zawsze mają specyficzny zapach, ale i tu są wyjątki. "Jedyny w świecie zapach - Paryż", to przecież liczne fabryki kosmetyków, drogerie co krok i pachnące dobrymi perfumami Paryżanki. Mają swoje zapachy takie miasta, jak np. wodnista Wenecja i mglisto-dymny Londyn.

Małe miasta zawdzięczają swe zapachy browarom, gorzelniom, młynom, garbarniom itd.

Puławy nie miały specyficznego zapachu. Wiosną pachniały bzami, jaśminem. .. Latem chyba lipami... Przez cały rok cebulą i śledziami /Żydzi/. Ale tak pachniały liczne inne miasteczka polskie czy polsko-żydowskie.

Ale specyficzne dźwięki Puław miały. Puławy dźwięczały fortepianami.

Dlaczego? Łatwo to wytłumaczyć. W Puławach było bardzo dużo inteligencji. Pod tym względem Puławy biły rekord w całym Imperium Rosyjskim.

Jest rzecz oczywista, że prawie każdy dziewiętnastowieczny dom inteligenta musiał mieć fortepian lub pianino.

W przeciętnym kilkutyśecznym miasteczku polskim ubiegłego wieku liczba tych instrumentów nie dochodziła zwykle do 10. W kilkutyśecznych Puławach było ich kilkadziesiąt.

Starzy Puławiaczy długo wspominali, że od samego rana do późnego wieczora słychać było we wszystkich prawie zakątkach Puław dźwięki fortepianów.

A więc chyba nie ma żadnej przesady w ich powiedzeniu, że "dawne Puławy dźwięczały fortepianami".

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych powstała na Mokradkach /przy folwarku, czyli tzw. "fermie"/ stołówka studencka. W latach późniejszych miała ona odegrać poważną rolę w powszedniej egzystencji młodzieży studenckiej Puław. Początkowo kulała jednak i była często atakowana przez dyrektora Dobrowolskiego, który do studentów odnosił się małpko złośliwie - kilkakrotnie stołówkę zamykał.

Bardzo trudna sytuacja szykanowanej przez dyrektora stołówki nie stanowiła jednak przy ówczesnym układzie cen żadnej katastrofy, nawet dla ubogich studentów. Oprócz stosunkowo droższej "kawiarnio-restauracji" starej Engelsowej istniała w Puławach /chyba od 1878 r./ jadłodajnia wielkiej przyjaźni - ki studentów pocziwej "cioci" R o s o ł o w s k i e j /przy "szosie"/, gdzie za niewielką opłatą dostawało się zdrowe i pożywne, a nawet dość obfite obiady.

W latach osiemdziesiątych stołowały także pp.: O r ł o w s k a /wdowa po chemiku Instytutu, Antonim/ i K a m i Ń s k a. Wydawały świetne obiady, ale dostępne tylko dla zamożniejszej młodzieży.

W trochę późniejszych latach zasiłyła stołówka pp. N i z i Ń s k i c h przy ul. Kościelnej /dziś H. Sawickiej/.

W parę lat po wyjeździe z Puław Dobrowolskiego sytuacja urzędowej stołówki poprawiła się nieco.

Na pierwsze danie podawano w niej na przemian: barszcz "małoruski", "szczni /kapuśniak/, kartoflanek, krupnik, "uchę" /zupę rybną/ i zacierki na wodzie lub na mleku. Te zacierki były przez ogół studencki znienawidzone.

Drugie danie stanowiły z reguły pieczenie /wieprzowe, wołowe lub baranie/ albo śledzie /w piątki/.

Mięso dozowano ściśle. Tolerowano natomiast "dolewki" zupy oraz "dokładki" ziemniaków, kaszy i piątkowych śledzi. Chleba nie ograniczano.

W ogóle na te "urzędowe" obiady nie można byłoby narzekać, gdyby nie to, że chłodziarek wtedy nie było. Wprawdzie Instytut robił corocznie olbrzymie zapasy lodu i stołówka miała wielkie lodówki /komory oziębiane ze wszystkich stron lodem/, ale narzekania studentów na nieswieżość mięsa powtarzały się często.

Wspomniałem powyżej o "fuksowkach" urządzanych przez młodzież z "szosy" w latach 1877-1883. Otóż od 1878 r. fuksovky te odbywały się przemiennie

u "kochanej ciotuni" Rosołowskiej. Przebieg ich był mało skomplikowany i nie przypominał w niczym orgii sadyzmu, jakie miały miejsce w niektórych korpacjach typu wyłącznie zabawowego. Właściwie wszystko polegało na wygłoszeniu humorystycznego przemówienia któregoś ze starszych studentów do nowicjuszy, przedstawieniu się fuków całemu zespołowi studenckiemu i zbiorowym wypiciu przynajmniej jednej, potężnej beczki piwa przy towarzyszeniu chóralnych śpiewów.

Do bardzo pożądaných, chociaż nie zawsze stosowanych obrzędów fukowskich, zaliczano uroczyste nadawanie fukom przezwisk.

W skromnym, trzypokojowym /nie licząc ściśle prywatnych pomieszczeń/ lokalu pani Rosołowskiej odbywały się także rozmaite zebrania młodzieży polskiej /jeśli nie można ich było z jakichś względów zorganizować w wyżej wymienionych domach ściśle prywatnych/. Unikano tylko urządzania tam wieców lub narad o charakterze wyraźnie politycznym, które mogłyby narazić "ciotunię" na podejrzenia władz. Trzeba zaznaczyć, że "ciocia" zasługiwała jak najbardziej na specjalne względy ze strony młodych stołowników. W życiu uboższej studentki puławskiej odegrała ona rolę niepoślednią. Wiele wychowankom Instytutu udało się zakończyć studia pomyślnie i w dobrym zdrowiu tylko dzięki jej opiece i nieustającemu kredytowi, jakiego nigdy potrzebującym nie odmawiała. Warto jeszcze podkreślić, że nie czyniła ona różnic narodowościowych lub wyznaniowych. Pomagała uboższym Rosjanom, Ukraińcom, a czasem nawet i Żydom.

Ale dlaczego Żydom "czasem" i "nawet"? A po prostu dlatego, że Żydom prawowiernym rabinom nie pozwalali się stołować u chrześcijan.

Wprawdzie "ciocia" prowadziła "specjalną", niby "koszerną" kuchnię dla tych, których obowiązywały rozmaite zakazy dotyczące wieprzowiny, sposobu uboju, gatunków mięsa itd., ale to nie rozstrzygało sprawy, bo wołowina /nawet koszerna/ pieczona w naczyniu, w którym kiedyś piekła się wieprzowina, już była zakazana - trefna. Byli jednak w Instytucie tacy "półprawowierni" Żydzi, którzy nie brzydzili się potraw "cioci". U "cioci" stołowali się także wyznawcy islamu.

Przy sposobności trzeba jeszcze zaznaczyć, że flaki "litewskie" cioci Rosołowskiej cieszyły się wspaniałą opinią i ściągali goście także spoza Puław.

W miarę zwiększania się napływu studentów i wzrostu ludności Puław rozrastały się i doskonaliły "mikroknajpki" żydowskie. H o n i g e f e l d I /był i II/ zwany T o b i a s z e m /przy "szosie"/ słynął na całą okolicę z taniości oraz z pysznych chałek, wspaniałego majonezu, rekordowo smacznej gęsiny i mocnej pejsachówki. Do Tobiasza można było zapukać o każdej porze dnia i nocy.

Do groźnych konkurentów Tobiasza zaliczał się "P e t e r s", znany z rozmaitych sposobów przyrządzania śledzi, do których podawał starkę przedziwnnej jakości. Od starki "Peteresa" ciało stawało się mdłe, ale dusza wylatywała nad poziom. Zbijała ta starka z nóg, ale rozjaśniała umysł i ożywiała język.

"Peters" - w przeciwieństwie do Tobiasza - nie przyjmował u siebie nocą, ale w zakresie sprzedaży "na wynos" funkcjonował całą dobę. Śledzie /odpowiednio przyrządzone/ sprzedawał w takich samych garnuszkach, w jakich E n g e l s o w a sprzedawała swoje gulasze.

Tobiasz Tobiaszem, Peters Petersem, ale najlepszego szczupaka po żydowsku jadało się u H o n i g e f e l d a II, zwanego "Zegarmistrzem". Był to brat albo bratanek Tobiasza, czyli H o n i g e f e l d a I. Jego zakład gastronomiczny mieścił się także przy "szosie".

Na ryby chodziło się czasem aż za Wisłę, do Góry Puławskiej, gdzie w mikroskopijnej karczmce podawano najlepsze /podobno/ w świecie karasie w śmietanie oraz /marginesowo/ rozmaite ryby po polsku. Na karasie przyjeżdżali smakosze z Lublina, a czasem nawet i z Warszawy. Karasiowa knajpka egzystowała długo. Dotrwała do wybuchu drugiej wojny światowej.

Gdzieś w Puławach istniała także knajpa jakiegoś D o b r o w o l - s k i e g o, który utrzymywał sale bilardowe. Knajpa ta obfitowała podobno w świetne piwa i portery krajowe, czeskie, niemieckie, a nawet i angielskie.

Wszystkie te lokale nie były obojętne studentom puławskim. Oblewano w nich przede wszystkim imieniny, jeśli w grę nie wchodziło większe grono kolegów.

Dobrowolski konkurował z ciocią Rosołowską w zakresie przyrządzania flaków. Podobno flaki cioci były jednak lepsze, ale Dobrowolski zyskiwał sobie zwolenników wielkością porcji.

Przy sposobności wszelkich "podlewanych" biesiad śpiewano hymn polskiej, puławskiej młodzieży studenckiej, skomponowany i ułożony jeszcze w 1872 r. przez studenta Wincentego t o s k o w s k i e g o:

Niech nam żyją te Puławy,
Gdzie młodości wiek spędzamy!
Hejże bracia do zabawy!
I wesoło zaśpiewajmy!
Byśmy zawsze tak śpiewali,
Zdrowi mogli być,
O Puławach pamiętali
Póki będziemy żyć!

Mahomet choć wino ganił,
Nie omieszkał apić się czasem,
Wtedy z swymi prorokami
Ochrypniętym ryczał basem:
Byśmy zawsze tak śpiewali,
Zdrowi mogli być,
By dziewczęta nas kochały
Póki będziemy żyć!

Niech nam żyją te Puławy,
Gdzie wesoło czas spędzamy!
Chociaż nas tu żandarm dręczy,
Ale my go w d... mamy!

Byśmy zawsze tego pili,
Razem mogli być -
I żandarma w d... bili,
Póki będziemy żyć!

A gdy car nas tutaj dręczy,
Prześladuje i uciska,
Młodź puławska niech mu ryczy,
Że odwetu chwila bliska!
Byśmy zawsze tak śpiewali
Wolni mogli być,
O Ojczyźnie pamiętali -
Póki będziemy żyć!

A kto wina nie skosztował,
Lub kto wstręt do niewiaśc czuje,
Jeśli jeszcze nie zwariował,
To na pewno wnet zwariuje.
Byśmy zawsze tak śpiewali,
Zdrowi mogli być,
Pomyślności doznawali
Póki będziemy żyć!

A gdy tutaj zgromadzeni,
Agronomi i leśnicy,
Niechaj nam się wino pieni,
W pozłacanej tej szklanicy!
Byśmy zawsze tak śpiewali,
Zdrowi mogli być,
I swobody doznawali -
Póki będziemy żyć!

Hejże bracia Puławiacy,
Czy Litwini, czy Polacy,
Zgodni wszędzie, dobrze bądźcie,
Dobrze bądźcie nam!
Byśmy zawsze tak śpiewali,
Zdrowi mogli być,
O Ojczyźnie pamiętali -
Póki będziemy żyć!

Dalej bracia Puławiaci!
 Z wiarą bierzmy się do pracy!
 Ziemi naszej by zagony
 Dały pożądane plony!
 Byśmy zawsze tak śpiewali,
 Wolni mogli być,
 I dla Polski pracowali -
 Póki będziemy żyć!
 Żyjmy, wierzy i pracujmy
 Dla Ojczyzny i dla kraju!
 By rezultat naszej pracy
 Był zadatkiem przyszłej chwały!
 Byśmy zawsze tak śpiewali,
 Miał w więzieniach gnąć,
 Polsce sławy przysparzali -
 Póki będziemy żyć!
 Hejże bracia, po mokołach
 Wesołości przykład dajmy!
 Niech na naszych świeci czołach!
 Więc wesoło zaśpiewajmy!
 Byśmy zawsze tak śpiewali,
 Zdrowi mogli być,
 Puławianki wspominali -
 Póki będziemy żyć!

W latach osiemdziesiątych zrodziła się jeszcze druga "Puławianka". Autor jej pograżył się w niepamięć. Brzmiała ona:

Gdy nas się zgromadzi kompanija cała,
 Co tego wsiąkała, piła, strajkowała,
 To sobie wsiąknijemy i pieśń zanucimy:
 Oj ciąg! Oj ciąg! Oj ciąg! Oj ciąg!
 To wino kochane!
 Oj pij! Oj pij! Oj pij! Oj pij!
 Zawsze ze dzbanem!
 Kto wdepnął w kompanię, ten niech się pilnuje!
 Ten fuzer, kto z nami w wypitce bastuje!
 Oj ciąg! ...
 Węgrzynek to trunek godny Puławianki!
 A piwko i sznapsik - to dla Warszawiaki!
 Oj ciąg! ...
 W tym roku urodzaj kartofli niewielki,
 Jednakże nasz dziedzic ciągnie do butelki!
 Oj ciąg! ...

Melodii tej drugiej "Puławianki" nie udało mi się ustalić. Nie zrobiła ona wielkiej konkurencji "Puławiance" Ł o s k o w s k i e g o, która wyparła nawet "Gaudeamus".

W latach dziewięćdziesiątych powstała jeszcze trzecia "Puławianka" /autor także nieznany/, śpiewana częściowo na podobną melodię, jak znana piosenka kawaleryjska: "Hej, hej ułani! Malowane dzieci!" Oto jej słowa:

Mała młodziścina, co nad Wisłę leży,
 Sława z swych pamiątek i dzielnej młodziży!
 Hej, hej Puławo! Sławny kęć w kraju!
 Kto tu rok przepędził, to tak jakby w raj!
 Sława Puławianom nigdy nie zaginie,
 Bo tu studenteria ze śmiałości słynie!
 Hej, hej Puławo! ...
 Nasi Puławiaci gnili w cytadeli
 Za to, że lud prosty ku światłu garnęli!
 Hej, hej Puławo!
 A nasz Hryniewiecki zdobył sobie sławę,
 Zginął w carskiej turmie za najświętszą sprawę!
 Hej, hej Puławo! ...

Jakoś krótko śpiewano tę trzecią "Puławiankę". Dzisiaj nikt jej już nie pamięta. Zwyciężyła "Puławianka" Ł o s k o w s k i e g o, którą znają lic-

ni Puławiaczy i którą śpiewa nawet młodzież szkolna.

Prześlizgujemy się w czasie, ale trudno ciągle rozbić tematy na urywki chronologiczne. A musimy jeszcze wyczerpać zagadnienia pokrzepienia ciała, żeby móc potem spokojnie zabrać się do duzoży.

A więc dalszemu polepszeniu ulegała w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych sytuacja studentów pozostających na własnym, domowym wikcie. Wzrosła bowiem i udoskonalila się produkcja wędlin. W tej dziedzinie zasłynęły najbardziej rodziny S t a d n i c k i c h i W i e c z o r k i e - w i c z ó w.

Największe zarobki dawały masarzom tanie kiełbasy, wykupywane masowo przez studentów. Walka konkurencyjna pomiędzy wymienionymi firmami polegała na dozowaniu w kiełbasie /zawsze czysto wieprzowej/ przypraw, głównie czosnku i pieprzu. Brat studencka oceniał jakoś kiełbas głównie według tych przypraw. Dodawał ich więcej Stadnicki - szło się do Stadnickiego. Dodawał ich więcej Wieczorkiewicz - szło się do Wieczorkiewicza. Kiedyś konkurencja osiągnęła takie napięcie, że kiełbasy puławskie pobiły podobno krajowy rekord "ostrości".

Rozsmakował się w tych kiełbasach odwiedzający często Puławę kompozytor i wirtuoz Aleksander P o ł t a w a k i. Po latach /było to już po pierwszej wojnie światowej/ ekerzył się Połtawski z bolesnym wyrazem twarzy: "Czy teraz jest kiełbasa? Trchę mięsa w kieszce. Bez czosnku, bez pieprzu, bez soli i oczywiście bez smaku".

Wielkim powodzeniem cieszył się "kindziuk", salceson litewski, którego ostrość mogła spowodować u delikatnisiów stany zapalno jamy ustnej. W produkcji kindziuka bił wszelkie rekordy S t a d n i c k i, diablem zwany. Nikt z nim w tym zakresie nie konkurował, więc liczył sobie za kindziuka więcej niż za pozostałe wędliny. Mógł na nim zrobić majątek, ale nie wiadomo dlaczego produkował go w ilości nie osiągającej granic popytu.

W pieczywo zaopatrywano się w bardzo rozmaitych piekarniach. Strażnie ich było dużo w Puławach. Chyba kilkadziesiąt. Były m.in. takie wyspecjalizowane żydowskie "mikropiekarenki", które wypiekały tylko chałki albo tylko obwarzanki "bajgiele". Były chłopskie domy, które piekły wyśmienite razowce nie tylko dla siebie, ale także dla "panów". Było wreszcie kilka większych piekarni, wypiekających rozmaite rodzaje pieczywa. Największą sławą cieszyły się uniwersalne piekarnie D r e w i e n ó w i W i l c z y Ń - s k i c h.

Sytuacja ubogich studentów była w Puławach dużo lepsza niż w ośrodkach prawdziwie miejskich. Życie ułatwiał tu np. kredyt, kredyt prawie nieograniczony. Szybki na kredyt B e r e k i C h i l, obuwał na kredyt M a t y s G a r b a t y, w którego ślady poszli później J a n a c z e k i M a z u r k i e w i c z /ci dwaj byli zresztą jako kredytodawcy znacznie ostrożniejsi od Matysa/. Karmiła na kredyt dobra ciocia R o s o ł o w - e k a. Karmił i poił na kredyt gościnny T o b i a s z, który sprowokował do udzielania kredytu P a t e r s a i Z e g a r m i s t r z a.

Udzielali kredytu także wszystkie sklepy. Nie odmawiali kredytu na komorne właściciele kwater i stancji.

Najjaskrawszym wykwitem tych kredytowych stosunków był tzw. B u c i e k. Liczba pojedyncza nie jest tu jednak właściwa. Bućków było trzech: I-III, a ściślej nawet czterech /"trzej królowie we czterech"/.

Buciek to chyba przezwisko. Ojciec Bućka I był szewcem za czasów Czartoryskich /do 1831/ i reperował buciki także personelowi i pensjonariuszkom Aleksandryjskiego Instytutu Wychowania Panien w Puławach /1844-1862/. Ale to był jakiś B u c i e k Z e r o w y. Przekazał tylko swoje przezwisko dynastii domokrażców liczonej dopiero od tego Bućka, który dał się poznać studenterii Politechniki Puławskiej /otwartej w 1862 r./.

B u c i e k I, właściwy założyciel dynastii, porzucił szewstwo, do uprawiania którego starał się go nakłonić Bućek Zerowy. Zaczął handlować. W godzinach przedpołudniowych roznosił naftę i świece, a po południu zajmował się dystrybucją owoców oraz rozmaitych przysmaków kaukaskich i żydowskich z bajgele, makagigę i niewysłownej dobroci rachatłukum na czele.

Buciek I stał się czołowym dostawcą kredytowym studentów Politechniki Puławskiej, ale interesu na nich nie zrobił. Gdy w 1863 r. młodzież puławska wyruszyła do powstania, nie zdążyła spłacić pocziwego Żyda, który

zresztą okazał się jej dobroczyńcą także w czasie walk. Niedobitki oddziałów puławskich zostały zaopatrzone pod Dwikozami w całą furę lekarstw i środków opatrunkowych przesłanych im całkowicie bezinteresownie przez Bucika I.

Swoje kontakty handlowe ze studentami wznowił Buciek I w 1869 r.

Buciek I był puławskim królem nafty i niektórych smakołyków aż do lat dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia. Później wszystkie jego funkcje przejął syn, B u c i e k II. Okres pierwszej wojny światowej i okres międzywojenny, to krótka epoka panowania B u c i k a III i zmierzch dynastii.

O Bucikach mówiło się zawsze w liczbie pojedynczej.

Były student puławski Władysław P ł o s k i pisał w swych notatkach wspomnieniowych:

"W południe przychodził Buciek, rzadkiej uczciwości żydowina, z dwiema blaszankami nafty, amerykańską i kaukaską, jak kto woli, choć przyznawał się szczerze, że to jedna i ta sama. Oglądał butelkę miejscową i gdy była próżna, nalewał całą kwartę i robił kreskę na drzwiach; tych kresek dużo się z czasem zbierało, on jednak czekał, nigdy nie upominając się o zapłatę. Po południu chodził z koszą owoców, czekolady i cukierków; ten luksus brano przeważnie za gotówkę".

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych nie zdarzało się na ogół, żeby studenci zawiedli swych wierzyteli. Bywało, że dług zaciągnięty w pierwszym roku studiów zwracano dopiero po ich ukończeniu, ale na to wierzytiele przeważnie milcząc się zgadzali. Nawet B e r e k "B a n k i e r", który cały swój dochód ciągnął z procentów od pożyczek i często ryzykował większe sumy, nie użalał się na swoich, często lekkomyślnych dłużników. Czasem trzeba było wprowadzić ścigać jakiegoś lekkoducha czy wartogłowa aż do miejsca jego stałego zamieszkania, np. pod Mińsk lub Kijów, ale i w tych przypadkach sprawa kończyła się z reguły jak najpomyślniej.

Wymieniony Berek "Bankier" odegrał bardzo poważną rolę w pierwszych latach istnienia IGWiL. Zdarzało się, że gagaty przekezywały pieniądze swym gagatkom z paromiesięcznym opóźnieniem. A wiadomo przecież, że "jak bida, to do Żyda!"

W latach późniejszych, gdy Berek trochę się zesterzał, jego miejsce zajęła gruba W a d z i o w a z ulicy Piasekowej. Także na nią dłużnicy nie narzekali.

Z biegiem czasu poprawiły się warunki zachowania higieny. Dzięki dr Ksaweremu P a s i u t e w i c z o w i, a następnie dr Emilianowi M i e d z w i e d z k i e m u doskonalili się łazienki Instytutu, zlokalizowane w miejscu obecnego zaplecza aktualnej stołówki IUNG.

Dyrekcja IGWiL miała jednak często dzikie i głupie pomysły. Ktoś wymyślił kiedyś spore opłaty za kąpiele. Studenci zorganizowali wtedy demonstrację, na której śpiewano piosenkę podobną bliźniaczo do parodii pewnej, później powstałej pieśni studenta IGWiL Romana J a n k o w s k i e g o powstania zartobliwej piosenki puławskiej wyprzedziło narodziły wszystkie jej późniejszych wersje. Oto jej słowa:

Otrieczomsia ot sierogo myła
I nie budiem my w baniu chodit',
Budiem myt'sia my doma w korytie.
Ach zacziemże nam dieńgi tratit'.

A z tym "sierym myłom" to wszystko się zgadza. "Dieloproizwoditiel" /dyrektor administracyjny/ Instytutu zaopatrywał łazienki puławskie wyłącznie w szare, maziaste mydło, które zresztą było brązowe.

Powoli zbliżamy się jednak do spraw mniej cielesnych. Warto wspomnieć, że polska studenteria puławska powołała do życia w 1880 r. "Towarzystwo Wydawnicze Imienia J.I.Kraszewskiego". Wydano /w języku polskim/ do 1887r. "Organizację Gospodarstwa Wiejskiego" G. K r a f t a, "Hodowlę Świń" H e u z e g o, "Leśnictwo" T u c e w i c z a, "Politykę Ekonomiczną" I w a n i u k o w a, "Botanikę Leśną" Feliksa B e r d a u i jeszcze kilka pozycji. Było to finansowo trudne przedsięwzięcie, ale przetrwało prawie 8 lat. Zresztą trudności były rozmaitej natury, nie tylko finansowej.

Oddalone inicjatywy wydawnicze /i nie tylko wydawnicze/ były w Imperium zawsze źle widziane.

Studenterii puławskiej nigdy nie brakowało inicjatywy. I to w bardzo rozmaitych, często całkiem "niemłodzieżowych" zakresach. Tak np. w latach dziewięćdziesiątych młodym oświatowcom z Instytutu udało się nakłonić starszych obywateli puławskich do założenia Towarzystwa Opieki nad Sierotami.

Sierot było w Puławach i w okolicach /Wieś Puławska, Włostowice/ więcej niż w wielu innych małych miasteczkach Królestwa. Wspominaliśmy już, że intensywny ruch ludności w regionie puławskim nie wpływał dodatnio na stan zdrowotności mieszkańców. W związku z tym aż roiło się tutaj od sierot pozbawionych obojga rodziców.

A sieroca dola w zeszłym stuleciu?

Była okropna! Jeszcze w okresie międzywojennym utrzymywały się fatalne tradycje.

Zwiedzałem kiedyś obóz cygański. Zauważyłem małego Cygana, posiniaczonego i podrepanego. Wszystkie inne dzieciaki popychały go, uderzały, rzucały w niego patykami.

Zapytałem te dzieci - dlaczego tak go prześladujecie?

A bo to sierota - padła odpowiedź.

Odpowiedź lakoniczna, załatwiająca pytającego wyczerpująco. Powinienem być zrozumieć, że taki stosunek do sieroty był wręcz konieczny. Wynikał po prostu ze statusu społecznego ofiary.

To samo zaobserwowałem kiedyś w środowisku dzieci chłopskich.

Pewien młody Cygan starał się przekonać mnie, że zaobserwowana przeze mnie scena była dla Cyganów bardzo nietypowa i całkowicie sprzeczna z kulturą i tradycjami Cyganów. Że to było jakieś odstępstwo od zwyczajów cygańskich. Objaw jakiejś degeneracji środowiska.

Jestem ignorantem w zakresie kultury cygańskiej, więc żadnych obserwacji na temat Cyganów nie odważyłbym się uogólniać. Wiem jednak, że los sierot chłopskich był z reguły okrutny.

A jak to było z sierotami w sferach tzw. oświeconych? W tych sferach sieroty były chłostane raczej pogardą i lekceważeniem oraz nieustającą pretensją do ich rodziców, że się przenieśli na tamten świat.

Akcję na rzecz sierot prowadzili studenci pod kierownictwem Antoniny P e l d y /córkę Franciszka P e l d y, zmarłego w 1876 r. ogrodnika IGWiL, Czecha z pochodzenia/, nauczycielki ludowej, zwanej powszechnie A n t o - e z k a.

W skład komitetu studenckiego opiekującego się sierotami wchodził: Józef D u c z y m i ń s k i, Konstanty D u c z y m i ń s k i, Stanisław H e m p e l, Henryk H r y n i e w i e c k i, Stanisław R u s z c z y k o w - s k i, Józef S k o w r o n e k, Stefan S m i e c h o w s k i, Stefan S w i e z a r o w s k i i inni.

Wszyscy wymienieni studenci zostali w 1895 r. aresztowani i relegowani z IGWiL. Był to wielki wstrząs.

"Antoszek" kontynuował swoją działalność. Akcja na rzecz sierot rozwijała się nadal. Wiele dokonał w tym zakresie Andrzej S t r u g /Tadeusz Gałęcki; A 1895/ wraz ze swym szlafkamratem Władysławem L e s z c z y ń - e k i m /A D 1897/. Dopomógł im podobno /jak? - nie wiem/ znany faktor żydowski Icek Kogut.

Ze starszego społeczeństwa włączyli się następnie do akcji m.in. W e r n e r o w i e i A l b r y c h t o w i e, a także inni mieszkańcy Puław, których nazwisk nie znamy i chyba nigdy już nie poznamy.

Szczególnie wielką rolę odegrał lekarz IGWiL Emilian M i e d z w i e d z k i. Po jego śmierci /1903 r./ kontynuował akcję następca Miedźwieckiego dr Apolinary Bolesław H o r o d y s k i, który bardzo znaczną część swoich dochodów przeznaczał na leczenie i odżywianie sierot, obejmując swoją charytatywną działalnością także sieroty żydowskie.

Lekarze leczyli i częściowo dożywiali sieroty, ale w ogóle akcja "sieroca" polegała konkretnie na finansowaniu tzw. terminowania sierot obojga płci u rzemieślników puławskich oraz na zapewnianiu sierotom względnie przyzwyczajonych i higienicznych noclegów. Sprawę ich wyżywienia powierzano samym rzemieślnikom, u których pracowali terminatorzy. Wyniki akcji nie były - zdaje się - imponujące ilościowo, ale jakościowo okazały się bardzo korzystne. Wychowano kilka dobrych krawcowych i kilkunastu rzemieślników w zawodach "męskich". W okresie międzywojennym byli to już mistrzowie z bogatą przeszłością pro-

fesjonalną. Stworzyli własne warsztaty pracy.

Kamieniem milowym w dziejach Instytutu Puławskiego była dokonana w 1893r. przez W.W. Dokuczaiewa radykalna reforma uczelni, która uzyskała nareszcie oblicze akademickie. Wzrosły wtedy wymagania zarówno w stosunku do kandydatów na studia, jak i samych studiujących. W związku z tym puławskie środowisko studenckie pozbyło się rozmaitych półdzikusów, których przy mowano poprzednio ze względów wyłącznie rasyfikacyjnych.

W okresie Dokuczajewowskim młodzież polska odwiedzała najczęściej "domy otwarte": Albrychtów, mareszałkowej Boguckiej, Broniewiczów, Cymanów, Hollaków, Kruszewskich /Osiny/, Pietruszczyńskich, Zulińskich... Później przybył jeszcze dom doktorostwa Horodyskich.

U moich dziadków Pietruszczyńskich zbierała się głównie poważniejsza młodzież, bo ta bardziej płocha bała się trochę dziadka.

Studenti Rosjanie bywali nie we wszystkich domach polskich i raczej rzadko. Dziadek przyjmował niektórych młodych Rosjan, bo lubił sobie z nimi pogadać. Z rozmów tych wyciągał niekiedy bardzo interesujące, czasem daleko idące wnioski.

Poza Polską dziadek znał doskonale Szwajcarię, gdzie się leczył i studiował. Stykał się też wielokrotnie z innymi społeczeństwami Zachodu. Bardzo cenił realizm Szwajcarów, dla których spekulacja myślowa stanowiła przeważnie tylko drogowskaz do - jak to prawniczo określał /był przecież prawnikiem/ - "postępowania empirycznego".

Przeciwieństwem Szwajcarów byli według dziadka Rosjanie, którzy albo tonęli w mistycyzmie, albo dochodzili do radykalnego, przesadnego racjonalizmu. Przy tym ten racjonalizm ulegał obarczeniu przez jakiś osobliwy neomistycyzm, bo przesadne jego traktowanie prowadziło do bezrozumnego kultu rozumu i człowieka.

Kiedyś /ale już w czasach "podokuczajewskich"/ dziadek pokłócił się w niebywale głośny sposób z prof. Jerzym Lange. Prof. Lange twierdził, że młodzież rosyjska przywijała sobie doskonale marksizm, a zdaniem dziadka najwpływowszym w Rosji filozofem był w istocie rzeczy August Comte. Wprawdzie nazwiska tego filozofa prawie się nie wymieniało, ale młodzież wcale nie przechodziła z teizmu na ateizm, lecz na "antropoteizm", ściślej antropizm, który wymagał nie tyle burzenia ołtarzy, ile raczej ich przebudowy.

Prof. Lange twierdził, że centralną pozycję w zarzutach dziadka pod adresem młodej inteligencji rosyjskiej zajmowało oskarżenie jej o przesadny dedukcjonizm. Zdaniem dziadka młodzi Rosjanie zamienili sobie objawienia na dedukcyjne założenia, dla których wcale nie szukali indukcyjnych uzasadnień. Na skutek tego utrwała się w ich umysłach jakiś specyficzny aksjomatyzm i kompleksowość myślenia.

Bardzo trudno byłoby mi dzisiaj odtworzyć ściśle i wiernie poglądy dziadka. W każdym razie wiem, że w zarzucie dotyczącym myślenia kompleksowego chodziło mu o fałszywe rozumienie pewnych relatywnych konieczności. A więc m.in. zdaniem dziadka pospolite było np. odrzucanie u rosyjskich ludowców elementów kultury przemysłowej^{*} i - vice versa - odrzucanie przez entuzjastów kultury przemysłowej wszelkiej ludowości. Bez względu na to, czy pierwiastki tych kultur wykluczały się wzajemnie, czy też mogły się wzajemnie uzupełniać. Wchodziła tu bowiem w grę przysłowiowa, rosyjska "pryncypialna - ja toczka zrienijsza" /zasadniczy punkt widzenia/.

Szeroko znany w Instytucie był dowcip dziadka, że młodzi pryncypialiści powinni nosić ubrania bez jedwabnej podszewki. Bo albo ubranie ma być welniene, albo jedwabne. Łączenie jednego z drugim jest naruszeniem pryncypializmu.

Twierdził dziadek, że pryncypialiści z reguły są złymi rolnikami. Rolnik musi być elastyczny i ciągle się do czegoś dostosowywać, zależnie od rozmaitych okoliczności. A pryncypialiści uwielbiają sztywne stosowanie recept i poszukują ciągle uproszczeń, które godzą w samą istotę zawiłego z natury rolnictwa.

^{*}Jakoś ta kultura przemysłowa była inaczej określana, ale nie pamiętam jak.

Ktoś mógłby pomyśleć, że dziadek uwziął się specjalnie na Rosjan, ale młodą inteligencję polską oceniał dziadek także bardzo surowo. Zarzucał mianowicie młodym Polakom bezmyślność i łatwe uleganie emocjom.

Jego zdaniem Rosjanie "lubili" zrobić coś głupiego po głębokim namyśle, a Polacy robili łatwo coś głupiego bez namysłu, pod wpływem emocji. Czy był pesymistą? Chyba nie! Sądził, że zarówno Rosjanie, jak i Polacy jeszcze się kiedyś czegoś nauczą.

Chyba nie ulega wątpliwości, że lata spędzone przez dziadka w Szwajcarii znalazły tu swój wyraz.

A wieczorne dyskusje polsko-rosyjskie zawsze były według dawnych Puławaków irytujące. Studenci Polacy dzielili rosyjskich dyskutantów na dwie kategorie, mianowicie na "aktorów" /chyba mówili: "komediantów"/ i "uparciuchów". "Aktorzy" lubili podniecać dyskusję, zajmując opozycyjne stanowisko wobec wszystkich głoszonych poglądów. Gdy tylko osiągnięto jakiś cień zgodności czy porozumienia, zmieniali front na przeciwny, celem zapobieżenia wygasaniu gorącej dyskusji. "Uparciuchy" natomiast trzymali się jakichś założeń, bez względu na możliwość udowodnienia ich słuszności. W obydwóch przypadkach dyskusja stawała się jałowa.

Studenci Rosjanie zarzucali z kolei Polakom, że to właśnie oni jałowili kalkulacje myślowe, wprowadzając do rozmowy akcenty emocjonalne.

Wiedząc coś niecoś o tych puławskich wieczorach dyskusyjnych sądzę, że emocji nie brakowało po obydwóch stronach. Ponadto przypuszczam, że pryncypialny aksjomatyzm dedukcyjny /"uparciuchy"/ był rozpowszechniony także wśród Polaków. Co się zaś dotyczy aktorstwa dyskusyjnego, to chyba było ono rzeczywiście charakterystyczne dla inteligencji rosyjskiej pewnego okresu. Bardzo możliwe zresztą, że zaznaczył się tutaj wpływ inteligencji żydowskiej. Zonglowanie "punktami widzenia" przypominało jakieś rozważania talmudyczne.

Muszę się przyznać, że lubię takie rozważania w kalkulacjach myślowych na temat np. ontologii, ale talmud w omawianiu zagadnień np. uprawowych mniej mi odpowiada.

Według prof. Piotra Barakowa rozmowa na tematy fachowe była łatwiejsza z Polakami niż z Rosjanami. Bardziej realistyczna. A w praktyce także Polacy okazywali się lepsi, bo nie byli ani za bardzo pryncypialni i recepturalni, ani za bardzo relatywistyczni.

Uwagi Barakowa odnosiły się do inteligencji rolniczej. Pomiedzy chłopami rosyjskimi i polskimi nie zauważał Barakow żadnej istotnej różnicy.

Od czasu akademizacji uczelni puławskiej, dokonanej przez W.W. Dokuczajewa w 1893 r., rozwinęły się w obrębie Instytutu studenckie kółka naukowe /zwane dziś w liceach kółkami zainteresowań/, poświęcone zgłębianiu poszczególnych dyscyplin nauk rolniczych i leśnych. Szczególną aktywność w obrębie tych kółek wykazywali studenci Żydzi.

Na zebraniach kółek omawiano nie tylko zagadnienia specjalistyczne, ale i ustrojowe. W związku z tym ujawniały się w dyskusjach kółkowych różnice światopoglądowe. Zwłaszcza referaty i dyskusje dotyczące spraw urządzeniowo-rolnych prowadziły wszystkich uczestników zebrań do wielkiej polityki.

Jaki obraz rolnictwa przyszłości malowali w swej wyobraźni studenci reprezentujący lewicę społeczną?

W tym zakresie można było zaobserwować najbardziej jaskrawe rozbieżności pomiędzy lewicowymi "obozami" - polskim i rosyjskim.

Lewicowi Polacy i Żydzi Polacy wyobrażali sobie rolniczą przestrzeń produkcyjną w postaci mozaiki gruntów podzielonych pomiędzy chłopów albo w postaci "kooperatyw" rolnych o wielkości nie przekraczającej sumy gruntów jednej, średniej wsi. Według Rosjan i Żydów rosyjskich koncepcje polskie dotyczyły tylko stadiów przejściowych w urządzaniu świata. Ich zdaniem w przyszłości powinny bowiem powstać kierowane odgórnie i centralnie specjalistyczne gospodarstwa rolne, obejmujące całe wielkie obszary geograficzne w skali makroklimatycznej.

Uwagi na temat Polaków, Rosjan i Żydów Polskich i Rosyjskich odnoszą się oczywiście do środowiska studentów puławskich.

Sprawę poglądów lewicy studenckiej na zagadnienie przyszłego ustroju rolnego przedstawiamy tutaj, a nie w rozdziale następnym, bo były one omawiane nie tylko na wiecach politycznych, lecz i na posiedzeniach kółek naukowych. Ponadto stanowiły one przedmiot dyskusji na prawie cowieczornych,

połtowarzystkich lub towarzyskich zebraniach prywatnych. Traktowano je zresztą zartobliwie.

W ogóle na wiecach i konspiracyjnych "schadzkach" politycznych koncentrowano się wokół spraw aktualnych oraz teorii i praktyki samej rewolucji. Zagadnienia dotyczące teoretycznych podstaw kształtowania świata w przyszłości należały głównie do tematyki salonowej. Trochę to dziwne, ale prawdziwe. Taka była specyfika puławskiego środowiska studenckiego.

Jeśli chodzi o tzw. szkolenie polityczne, to miało ono rzeczywiście miejsce także w Puławach, ale obejmowało raczej działalność agitacyjną studentów w miejscowym garnizonie i wśród ludności regionu puławskiego.

Przy tym - w zakresie tego szkolenia - ograniczano się zwykle albo do spraw chronologicznie bliskich, albo do mglistych ogólników. "Eschatologia" rewolucyjna rzadko wychodziła poza kwatery i salony.

Pomiędzy większością Polaków i większością Rosjan zachodziły wielkie różnice w poglądach na "eschatologię". Różnice te miały swoje ugruntowanie w historii. Dla Polaków punktem wyjścia była demokracja szlachecka, a punktem dojścia demokracja społeczna, ogólnoludzka. Większość Rosjan przeciwstawiała despotyzmowi carów despotyzm rewolucyjny albo anarchię, a "eschatologicznie" kołysała się również pomiędzy despotyzmem i anarchią.

Chyba to właśnie wśród puławskich studentów Polaków rozpowszechniła się najbardziej modyfikacja porzekadła staropolskiego, brzmiącego w ich redakcji: rolnik na zagrodzie - równy wojewodzie. Dla większości studentów Rosjan brzmiało to obco, bo oni nie wiedzieli w przyszłości ani rolnika-chłopa, ani wojewody w naszym pojęciu.

Mój dziadek był zapalonym kolekcjonerem. Zbierał znaczki pocztowe, monety banknoty, etykiety zapalczane, obrazy i ... "p o g l ę d y". W pokoju tzw. bawialnym dziadków mieściło się swobodnie powyżej 30 osób. Miał dwie córki na wydanii i dwóch przystojnych synów. W związku z tym przychodziła do jego domu spora grupka młodzieży. Porządek młodzieżowych zebrań towarzyskich był ustalony: 1/ rozmowy na rozmaite tematy, 2/ tańce, 3/ kolacja. Na te "rozmowy" zawsze przychodził dziadek i starał się podniecać dyskusję, co bardzo wzbogacało jego rosnącą kolekcję poglądów.

Całkiem osobno odbywały się zebrania starszego towarzystwa. Rej wodził na nich prof. Włodzimierz Wiktorowicz S z k a t i e ł o w. Spierali się z nim gorąco prof. Konstanty Dymitrowicz G l i n k a /klasyczny konstytucyjny demokrat/, prof. Jurij Walentynowicz L a n g e /tzw. eser socjal-rewolucjonista/ i inni. Dziadek dolewał sznapsa im i sobie, ale zawsze pamiętał o czym była mowa i co kto powiedział. Kolekcja rosła. Przekazał mi później tę kolekcję.

My tu sobie gadu, gadu... a Puławy przeobrażały się tymczasem w prawdziwe "miasteczko nad rzeczką". Właściwie nad rzeką, ale do rangi "miasta nad rzeką" było jeszcze daleko.

Prawa miejskie uzyskały Puławy w 1906 r.

Na przełomie stuleci powstał w Puławach wspaniały /jak na owe czasy/ hotel J a n o w s k i e g o z wielką /jak na owe czasy/ i elegancką /jak na dzisiejsze czasy/ restauracją, w której najbardziej elegancki świat Puław mógł zamówić wszystko, co dusza zamarzy /z wyjątkiem ostryg/. Może zresztą czegoś czasem zabrakło, ale kawierem można tam było zająć się bez granic /i to za liche pieniądze/.

Grały u Janowskiego na przemian trzy orkiestry: polska, żydowska i cygańska. Polacy byli bezkonkurencyjni w wykonywaniu walców wiedeńskich. Cyganie grali oczywiście romanse cygańskie. Żydowska orkiestra uchodziła za uniwersalną. Czasem występowali u Janowskiego wykonawcy piosenek, ale to nie byli piosenkarze. Musieli mieć głos. Mocny, dobry i na co dzień. Elektronika im jeszcze nie mogła pomóc.

A więc "wielki świat" Puław miał już się gdzie zabawić. Jednocześnie "wielki świat" zajął się sportem. Powstała wielka kręgielnia /tam, gdzie dziś mieszczą się garaże Instytutu/. Zrobiono kort tenisowy w parku /koło "wodokaczki", czyli wieży ciśnień/. Zaczęto uprawiać /na małą zresztą skalę/ wioślarstwo na Wiśle. Na tejże Wiśle studenci organizowali czasami konkursy pływackie.

Profesorowie Instytutu założyli klub /mieszczący się w sali zwanej dziś "Seminarną", a obejmujący także salę recepcyjną, salę Gotycką, salę Mu-

zyczną, czyli Kamienną oraz pokoiki zwane do niedawna "zakrytiami". Klub był bardzo dobrze urządzony. Na ścianach rozwieszono obrazy o dużej wartości artystycznej. Cztery pokoje umeblowano. Zakupiono fortepian dobrej marki. Zainstalowano doskonały bilard. Świetnie wyposażono bufet w sztucze i naczynia stołowe.

Klub prenumerował niewiele czasopism. Pod tym względem był wyřeczany przez Bibliotekę Główną Instytutu, która zaopatrywała się obficie także w rosyjską beletrystykę.

Klub nie odegrał żadnej roli w rozwoju kulturalnym miasta. Nie potrafiłbym odpowiedzieć na pytanie - czy i jaką rolę spełniał on w gronie swoich własnych członków. Najbardziej towarzyską osobą w całym Instytucie była chyba żona prof. S z k a t i e ł o w a, która lubiła jednak raczej domy prywatne. Doskonale pamiętam ją z Charkowa, gdzie po ewakuacji /1914r. znalazł przytułek Instytut Puławski. Szkatielewowie bywali u nas na kolacji 2-3 razy w tygodniu. Przychodzili zawsze na kilka godzin, żeby się wygadać.

Zdaje się, że do klubu schodzono się głównie dla posłuchania muzyki na dobrym fortepianie i na preferans. To wcale nie jest pewne, bo nieszczęśliwie fortepiany były w wielu domach, a preferans w domach prywatnych był bardzo rozpowszechniony.

Poza Instytutem istniał jeszcze w Puławach drugi klub, garnizonowy.. Ale w klubie garnizonowym pito tylko, zagryzano i grano w gry hazardowe. Chyba bardziej urozmaicano sobie czas w garnizonowym klubie dęblńskim, podówczas iwangorodzkiem. Spośród członków klubu instytutowego bywał tam Mikołaj K r i e ż t a f o w i c z.

Od lat dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia rozpowszechnił się zwyczaj krótkotrwałych wyjazdów pracowników IGWiL do Warszawy na większe koncerty, na opery i przedstawienia teatralne. Pociągi chodziły bardzo punktualnie przez cały rok. Wyjeżdżano przeważnie na soboty i niedziele, ale nie tylko. Można było wyjechać po południu i wrócić rano dowolnego dnia. Parogodzinna nieobecność w pracy traktowano liberalnie, jeśli dyrekcja była powiadomiona. Tylko powiadomiona, bo oficjalnie zapowiedziana absencja nie wymagała podań lub usprawiedliwień, jeśli nie wchodziły w grę jakieś terminowe zajęcia.

Polacy jeździli z reguły na palekie imprezy. Czasem trzeba było pojechać na rosyjskie. "Wypadało", bo puławscy Rosjanie nie bojkotowali polskich imprez, zwłaszcza koncertów, oper i operetek.

W przeciwieństwie do lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych obfitowały lata dziewięćdziesiąte w ruble. Przy tym zmieniła się bardzo sytuacja rubla "papierowego". Już nie polowano na ruble srebrne i przyjmowano chętnie "papierki". Tylko na jarmarkach rubel srebrny utrzymał częściowo swoją dawną pozycję. A rubel złoty przestawał być w Puławach rzadkością.

W początkach naszego stulecia "papierki" zdobyły sobie nawet taką popularność, że tzw. warstwy oświecone wyraźnie je uprzywilejowały. Nie obciążały kieszeni.

Ta popularność rubla papierowego bardzo się później zemściła. Polacy mieli ogromną szansę zaopatrzenia się w wielkie ilości złota, którego władze carskie nikomu nie żałowały. Rubel papierowy ceniony był podobnie, jak funt brytyjski, a bardziej niż dolar.

W początkach lat dwudziestych naszego stulecia naczelnik stacji kolejowej, p. Ż u l i ń s k i, wykleił sobie pokój rublami. Tapety były za drogie.

Wspominam o tym, bo widziałem ten pokój i długo pozostawałem pod wrażeniem tego pohanbienia rubla.

Bardzo możliwe, że kogoś zainteresuje jakie gazety i czasopisma czytali studenci puławscy.

Co się tyczy dzienników, to rekord bił K u r i e r W a r s z a w s k i, prenumerowany lub kupowany zarówno przez studentów IGWiL, jak i ogół obywateli puławskich. "Kurier" obejmował chyba większość czytelników gazet w Puławach. Ponadto czytano G a z e t ę P o l s k ą i S ł o w o. W czasie drukowania w odcinkach Trylogii Sienkiewicza "Słowo" uzyskało nawet przewagę nad "Kuriere".

Tygodniki polskie były prenumerowane przez Bibliotekę IGWiL, klub pracowników Instytutu oraz kółka studenckie. Po pierwszej wojnie światowej znalazłem w Bibliotece Puławskiej komplety lub liczne roczniki T y g o d n i-

ka Ilustrowanego, Wędrowca, Niwy oraz Biesiady Literackiej i Kłosoś. Inne czasopisma reprezentowane były słabiej.

Wiadomo, że młodzież puławska czytywała wiele pism socjalistycznych wydawanych nielegalnie w kraju lub przywożonych spoza granic Królestwa Polskiego. Szczegółów na ten temat nie udało mi się zebrać, a na samych domysłach trudno się opierać.

W historii Instytutu ogromną rolę odegrała reforma dokonana przez W.W. Dokucza Jewa w 1893 r. Bardzo ważny okazał się w tej historii także rok 1905. Od tego roku datuje się bowiem bojkotowanie przez Polaków szkolnictwa rosyjskiego w Królestwie Polskim.

W sprawie tego bojkotu opinia publiczna była podzielona. Przy tym sprawa szkół średnich miała inny charakter niż sprawa szkół wyższych.

Negatywne stanowisko w stosunku do bojkotu szkół średnich zajęli ludzie z warstw uboższych, których nie stać było na polskie szkoły prywatne i na skomplikowane uzyskiwanie dla dzieci świadectw dających przywileje w służbie publicznej. Ta opozycja była zresztą nieliczna, bo w zaborze rosyjskim /w przeciwieństwie do austriackiego/ tylko dobrze sytuowani ludzie kształcili dzieci w gimnazjach i średnich szkołach zawodowych.

Zagadnienie bojkotu szkół wyższych przedstawiało się zupełnie inaczej. Względem materialne mogły odgrywać tu rolę tylko dla obywateli miast czy miasteczek akademickich. Jeśli ktoś chciał wysłać syna lub córkę na studia poza miejsce zamieszkania i przeznaczał na to ileś tam rubli /mocna waluta, to te ruble w podobnym stopniu wystarczały lub nie wystarczały na pobyt w Królestwie Polskim, w głębi Rosji, w Niemczech, w Belgii, we Francji lub w Szwajcarii. Wydatki zwiększały poważnie tylko bilety kolejowe, jeśli wybrane miasto akademickie było położone w dużej odległości od miejsca zamieszkania studenta. Ale można było redukować te wydatki, ograniczając przyjazdy do domu.

Jakim argumentem szermowali więc przeciwnicy bojkotu? Otóż ich zdaniem władze chętnie przeniosłyby wyższe szkoły nauczania w głąb Rosji. Tak np. inicjatywa przeniesienia Instytutu Puławskiego na tereny etnicznie rosyjskie, białoruskie lub ukraińskie wysuwana była kilkanaście razy. Tylko wariatowaty Apuchtin zapobiegł realizacji tych inicjatyw, co należy poczytywać mu za dużą zasługę.

Całkowite oczyszczenie terenów polskich z państwowych uczelni akademickich nie mogło być pożądane.

Takie poglądy wyznawał m.in. mój ojciec, który znając język niemiecki nie gorzej od polskiego czy rosyjskiego, mógł sobie pozwolić na studia w uczelniach niemieckich. Zwolennikiem bojkotu był natomiast mój wuj, Zygmunt Pietruszczyński, który po tzw. Kursach Pomorskiego /"Kursa Przemysłowo-Rolnicze Towarzystwa Kursów Naukowych w Warszawie" zał. w 1906 r./ wyjechał do Halle, gdzie studiował rolnictwo na tamtejszym uniwersytecie.

Przewaga ilościowa zwolenników bojkotu spowodowała, że liczba studentów Polaków w IGWił bardzo zmalała. Przyczyniło się to do wzajemnego zbliżenia się Polaków bez względu na różnice społeczne.

Wspomina stary Puławiak Witold Jakutowicz /absolwent z 1910r. kolega mojego ojca z tego samego kursu/:

"Studentów Polaków w tych czasach było niewiele i przeważnie z Kresów. Wychowawcy bowiem szkół polskich musieli teraz szukać dalszej nauki poza granicami Królestwa": w Krakowie, Lwowie, Dublinach lub Taborze... w ostatnich latach trzech, a najwyżej czterech Polaków kończyło Puławy... By się nie rozpłynąć w morzu obcego żywiołu, tem więcej zmuszeni byli skupić się razem".

W ogóle studentów było wtedy w Puławach sporo. Na ten temat czytamy we wspomnieniach Jakutowicza: "Nie można było się dziwić, że taki napływ młodzieży z Rosji przybywał teraz do Puław. Wszak był to jedyny w całym państwie Instytut, który łączył w sobie wydział agronomiczny i leśny. Puławy były już niedaleko od Europy i Warszawy. Klimat dobry, położenie ładne, stypendia liczne i taniość przy tym bajeczna. Już w 1904 r. wystawiony tu został gmach obszerny, przeznaczony na internat, w którym na pięć-

²⁴Tam, gdzie uznawano świadectwa dojrzałości prywatnych gimnazjów polskich.

rze mogło się pomieścić 72 studentów, płacących po 5 rb. miesięcznie. Na dole były sale restauracyjne, gdzie za 25, a nawet za 15 kop. można było dostać obiad z trzech lub dwóch dań złożony. Zwykła porcja mleka lub herbaty kosztowała 3 kop. Życie oni zatem mogli w Puławach tanio i przy tym wesoło, bo oficerów było wielu, a bilardy w restauracji Janowskiego były na zawołanie o każdym czasie. Prócz tego założone zostało "Towarzystwo pomocy dla studentów" w celu zdobywania środków na zasiłki pieniężne dla niezamożnych studentów, które - jak również i stypendia - były teraz przez Towarzystwo Pomocy udzielane. A tych stypendiów było sporo, nawet dla Polaków było ich dziesięć, na ogólną sumę 2360 rubli rocznie. Był też na etacie instytutkiem lekarz, który bezpłatnie porad udzielał; w razie zaś choroby jakiegoś studenta szpital miejscowy zawsze był dla niego otwarty. Lekarzem tym, przez czas dłuższy, był Polak, dr H o r o d y e k i, bardzo sympatyczny człowiek i miły towarzysz".

J a k u t o w i c z wypowiedział się także na temat wzajemnych stosunków pomiędzy Polakami w tamtych czasach /po r. 1905/: "... żyliśmy ze sobą w serdecznych i przyjacielskich stosunkach, które utrzymane zostały w dalszym życiu naszym i poza Puławami".

"W samych początkach tego okresu mieszkało w Puławach dwóch kolegów żonaty, O. K o r z u n i bar. A. B u x h o e w d e n. W gościnnych progach ich domów zawsze znaleźć było można prócz wymiany myśli i trochę ciepła rodzinnego. Przy tym kolega Korzun, człowiek zamożny, odznaczał się wielką uczynnością względem biedniejszych kolegów. Z osób, które poza kolegami przyjmowały żywy udział w życiu studentów polskich należy wymienić z wyrazem szczerzej wdzięczności rodzinę P i e t r u s z c z y Ń s k i c h, panie G r a b o w s k ą i W a g n e r ó w n ę oraz doktora H o r o d y e k i e g o".

Interesujące są wypowiedzi J a k u t o w i c z a o stosunkach, jakie charakteryzowały w ostatnim czasie istnienia IGWiL współżycie studentów Rosjan i Polaków.

"Było zupełnie rzeczą naturalną, że wobec siedzenia przez całe miesiące przy tych zajęciach obok kolegów Rosjan, nieraz przychodziło do zbliżenia z nimi, zwłaszcza że było wśród nich sporo ludzi inteligentnych, kulturalnych i szczerych, którzy starali się mówić po polsku, a nawet chodzili w naszych ubrankach z błękitnym podszyciem, jak przystawało dla Kresów... Lubo koledzy Rosjanie traktowali nas zawsze z pewnym respektem, to obecnie odnosili się do nas z szacunkiem, a niejednokrotnie i z sympatią. Dążenie społeczeństwa polskiego do samodzielności i solidarna akcja w sprawie szkolnictwa polskiego musiały przekonać tych Rosjan i nie-Rosjan, jacy byli wówczas w Puławach, że naród polski żyje, ma swoją przeszłość i dąży do świadomości i z wiarą do jej odrodzenia".

W ogóle zdaniem J a k u t o w i c z a cała atmosfera w samym Instytucie i wokół Instytutu uległa dużemu polepszeniu po akcjach rewolucyjnych 1905 r.

"Profesorowie mieli teraz większą swobodę w prowadzeniu wykładów i jeszcze większy nacisk kładli na praktyczne zajęcia z przedmiotów specjalnych. Nikt już nie mógł krępować ich woli i postanowień w sprawach nauczania... Kurdiani... wykładał i słuchał egzaminów w parku, mając tam pod ręką ciękawsze okazy flory".

"Pracy było bardzo wiele, ale i wolności było teraz znacznie więcej. Wszak konstytucja nadawała pewne swobody, a więc i studenci w Puławach mieli ich znacznie więcej. Mogli dowolnie zbierać się i wygłaszać płomienne przemówienia, ale ostrze tego rodzaju już się stępiło".

Zepsuły się stosunki pomiędzy Polakami a inteligencją żydowską, wśród której przeważali Litwacy /Żydzi pochodzący z terenów Litwy i Białorusi, osiedleni w Królestwie Polskim/ oraz przybyłe z Ukrainy i Besarabii. Ci niepolscy Żydzi tworzyli trzy grupy:

Grupa pierwsza obejmowała Żydów zradyfikowanych i przywiązanych do Imperium, chociaż rosyjska czarna sotnia /bojówkarska prawica/ dopuszczała się pogromów i prowadziła propagandę antyżydowską.

Grupa druga skupiała lewicę żydowską, stojącą na stanowisku, że przyszła rewolucja uczyni dążenia Polaków do niepodległości sprawą bezprzedmiotową.

Grupa trzecia, do której należeli syjonіści, podkreślała na każdym kroku swoją obojętność w stosunku do wzajemnych stosunków polsko-rosyjskich i do sprawy polskiej.

Wspominamy o tym w tym rozdziale, bo stanowiska Żydów tzw. wschodnich spowodowały, że Polacy nie utrzymywali żadnych kontaktów z miejscową, świeżo formującą się inteligencją polsko-żydowską. Nie puźło to jednak stosunków pomiędzy studentami a rzemiosłem lub drobnym kupiectwem żydowskim. W królestwie królował nadal R u d y J a n k i e l ubierający studentów w uniformy i odrodzone ubranki.

Ale w szewstwie zaszły duże zmiany. Starzy mistrzowie żydowscy postarzelі się i częściowo wymarli. Wśród producentów obuwia uzyskali absolutną dominację rzemieślnicy katoliccy z J a n a c z k i e m na czele.

Bardzo zmienił się także świat knajpiarski. Na bezalkoholowe posiłki chodziło się po prostu do stale czynnej stołówki w internacie /dzisiaj: Urząd Miejski i Miejska Rada Narodowa/. Alkoholowe libacje odbywały się w restauracji J a n k o w s k i e g o. Żydowskie mikroknajpki nie wytrzymały konkurencji z nieżydowskimi knajpmi dorożkarskimi, które przyciągały pijącą klientelę wieprzową zagrychę.

Wśród większości studentów utarł się zwyczaj jedzenia zakrapianych posiłków w domach prywatnych. Rozpowszechniły się składkowe kolacje, które nie musiały się jednak odbywać u inteligencji puławskiej. Nie gardzono towarzysstwem chłopów z Włostowic lub Wsi Puławskiej i drobnych mieszczan z okolic Gościńcyka. A ci mieszczańscy stali się "autentycznymi" mieszczanami po przyznaniu Puławom w 1906 r. praw miejskich.

Do chłopskich chałup i drobnomieszczańskich domów zaglądali czasem studenci arystokratycznego pochodzenia.

I tak zbliżamy się do końca okresu tych Puław, które nigdy już się nie odrodzą. Przeminęły Puławy polsko-żydowskie, bałagulskie, awanturnicze i młode. Przeminęły Puławy akademickie i studenckie.

Przed 150 laty zginęły Puławy jako polskie Ateny, przed 65 laty znikły Puławy jako polsko-rosyjski Heidelberg i Möglin, a zarazem przestały być "kolosem przemysłu chałupniczego".

Przed 40 laty zatraciły Puławy bezpowrotnie swój folklor mieszczański i chłopski. Przesadą byłoby twierdzić, że stanowią jeszcze serce całego rolnictwa polskiego /jak przed 60 czy 40 laty/, chociaż odgrywają nadal dużą rolę w jego rozwoju.

Poza tym przestały być miasteczkiem nad rze/cz/ką, co także należało do ich walorów. Tutaj można się było oddawać kontemplacji, którą dziś udaremnia pospolita nerwowość ośrodków przemysłowych.

Wyparte z Puław wspaniałość przyrody, która kiedyś przenikała całe miasteczko, przeobrażone już w miasto.

A jednak słyszy się jeszcze czasem słowa refrenu "Puławianki":

Byśmy zawsze tak śpiewali!
Wolni mogli być!
O Puławach pamiętali -
Póki będziemy żyć!

SOLIDARNOSC ZIEMI PUŁAWSKIEJ - pismo wydawane przy MKZ NSZZ "Solidarność" w Puławach. Redaguje zespół w składzie: Apoloniusz Berbeć, Hanna Czekaj, Antoni Faber, Andrzej Kowalczyk, Krzysztof Małagocki, Ireneusz Ostrokowski, Włodzisław Zbiniewicz. Adres Redakcji: Al. Jedności 19 pok. 140, tel. 33-69. Biuletyn do wycisku wewnątrzwiązkowego.
